Lwów, Niedziela dnia 30. Marca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 9.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

UPADEK ZASAD.

Niesłusznie ośmnaste stulecie nazywają niektórzy wiekiem sceptycyzmu. Prace encyklopedystów zachwiały wprawdzie, aż do posad społeczeństwami i organizacjami państwowemi, religią, tradycją i naukami, na gruzach jednak dawnych strupieszałych przekonań, zbudowały nowe dla ludzkości ideały, nad których urzeczywistnieniem pracujemy dotychczas. Jeżeli jaką epokę nazwaćby można *par excellence* sceptyczną, to naszą. Jak w przedwiecznym chaosie, z którego świat się wyłonił, tak teraz panuje kompletny zamęt myśli i przekonań: społeczeństwa w szalonym biegu dążą na oślep, bez jasno określonych celów. Nauka rozdrobionia przez specjalistów na atomy, sztuka na próżno szukająca dla siebie dróg nowych, schodzi ze swego kapłańskiego piedestału i złotą koronę zamienia na błazeńską czapkę z dzwoneczkami, a betlejemskie gwiazdy ideałów bledną coraz bardziej, jakby za chwilę zagasnąć miały. Chorobliwy ten stan opanował całą Europę i jest przepowiednią jakiejś wielkiej katastrofy, która oświetli dalszą drogę dziejową ludzkości. W naszem społeczeństwie ten zamęt pojęć, to osłabienie ideałów daleko jeszcze więcej, niż w innych uczuwać się daje. Jest to naturalnym wynikiem naszego wyjątkowego położenia: silne organizmy mogą znieść łatwo chorobę, która dla słabych kończyć się może wiecznem kalectwem, lub nawet śmiercią. Przypatrzmy się bliżej, jak u nas pod tym względem rzeczy stoją. W życiu politycznem, społecznem, w ocenieniu przeszłości, w literaturze i sztuce coraz bardziej zatracamy pojęcie złego i dobrego. Nie ma prawie zbrodni, którąby nie znalazła jawnych i gorliwych obrońców, pyszniących się z swej palestranckiej przewrotności, nie ma czynu tak wielkiego, zasługi tak doniosłej w następstwa, którejby jawnie nie obrzucano błotem, nie oplwano cynicznem szyderstwem. Mało kogo to oburza: i owszem im śmielej kto wywiesi sztandar przewrotności, im bezczelniej zasłaniając się indywidualnem przekonaniem, będzie dzień nazywał nocą, a noc dniem, tem pewniejszym być może, że zwolenników i poklask pozyska. Wszystko to obniża duchowy poziom narodu i zaciemnia nasz ideał, który mimo wszystkich przeciwności jedynie utrzymuje w nas siły i życie. Fatalny ten stan, jeżeli dłużej potrwa, może uczynić z narodu dzielnego, dążącego i mającego prawo do niezależnego bytu, zgraję egoistycznych idjotów, dla których zaspokojenie zwierzęcych popędów jest jedynym celem żywota. Może nie jednemu z czytelników skreślony przez nas obraz, wyda się zanadto ciemnym, niestety jest on prawdziwy, a to nas tylko pocieszać może, że nie jest to obraz całego społeczeństwa, lecz tylko jednej i to dotychczas mniejszej połowy. Zło jednak rozprzestrzenia się daleko prędzej niż dobro i obawa groźnych następstw, jeźli się nie obmyśli środków zaradczych, jest zupełnie uzasadnioną.

Przyczyny, które doprowadziły część naszego społeczeństwa do tego stanu, są dwojakie: ogólnej i lokalnej natury. Po części winne są temu *przewrotne* zasady nowoczesnych pseudo-historyków, którzy zdobyli się jedynie na negację, głównie jednak przyczyniły się do wywołania tych smutnych objawów, opłakane stosunki kraju, wyzyskane z piekielną przewrotnością przez niesumiennych ludzi w koteryjnych celach. Ciężkie zawody, srogie prześladowania, ucisk religji i narodowości, upadek ekonomiczny, wszystko to musiało wywołać w narodzie po klęskach roku 1863 zwątpienie i apatję, którą powiększyć jeszcze musiała jawna przewrotność europejskiej dyplomacji, występująca w ostatnich czasach w całej swej ohydnej nagości. Publiczne podeptanie wszystkich praw boskich i ludzkich, sponiewieranie jawne moralnych zasad oddziałało najzgubniej na wszystkie społeczeństwa, a więc i nasze: klika reakcyjna, mająca więcej na oku interesa jednostek, niż ogółu, postanowiła spotęgować to zwątpienie aż do apatji, rozbić obóz wyznający przeciwne zasady i nad rozluzowanem społeczeństwem zapewnić sobie panowanie. Z początku nieśmiało, potem coraz bezczelniej jęto się Herostratowej roboty. Pierwsze kroki uczyniono na rzekomo neutralnym naukowym terenie. Pojawiły się: „Teka Stańczyka", dzieła ks. Domagalskiego i Walewskiego, potępiające w naszych dziejach wszystko, co naród dotychczas uważał za wielkie i szlachetne, usprawiedliwiające natomiast wszystkie czyny podłe i haniebne: służalstwo w obec obcych, przekupstwo i zdradę. Wszystkie bohaterskie, choć nie uwieńczone skutkiem porywy narodu napiętnowano nazwą szaleństwa, oplwano groby męczenników postępu i wolności, a natomiast nie wahano się stawiać na piedestale sławy i zasługi takich nawet Ankwiczów, Ponińskich, Kossakowskich i Massalskich! Dzieł i broszur tego rodzaju wyszło sporo i następnie zaczęto te same przewrotne zasady popularyzować za pomocą dzieł beletrystycznych i publicznych odczytów, a gdy już teren był przygotowany, zainaugurowano czynami epokę „szlachetnej denuncjacji." Polemika, którą wywołały te pisma i czyny, według naszego zdania, uczyniła więcej złego niż dobrego: uznano bowiem niejako przez to, że można dysputować z kłamstwem i podłością. Jeśli kto utrzymuje, że dwa a dwa to pięć, z takim się nie dysputuje, tylko idąc w ślad za nadobnym stylem p. St. Tarnowskiego, odpowiada mu się: „łżesz jak pies!" jeżli kto zaś dla jakichbądź względów denuncjuje rodaka, z tym się nie toczy dysputy, czy to wolno uczynić, lub nie, tylko w braku innych środków egzekutywnych, piętnuje się go, jako człowieka bez czci i wiary. Do zamętu pojęć przyczyniła się też nie mało umyślnie przez reakcję rzucona panika przed widmem socjalizmu, który znacznej części naszego społeczeństwa przedstawia się jak owa „apokaliptyczna bestja," zjadająca na śniadanie tuziny niemowląt i młodzieniaszków. Panika ta napędza trochę tchórzów w sieci reakcji, uzurpującej dla siebie obronę, porządku moralnego, ludzi zaś niezdecydowa-

nych i nie mających wyrobionych zasad wykoleja zupełnie.

Zdaje nam się, że nieuprzedzony czytelnik zgodził się na nasze powyższe uwagi, należy się więc teraz zastanowić, jakich środków użyć aby istniejące zło pokonać. Rzecz to jasna i nie wymagająca dowodów. Wszyscy ludzie dobrej woli, miłujący ojczyznę i postęp powinni uważać za swój najświętszy obowiązek, każdy w zakresie swego działania propagować myśli i zasady, odrodzenia ojczyzny, wolności i cnót obywatelskich. Zasady te są proste i zrozumiałe dla każdego, stanowią one ideał narodu i ludzkości: są to szczerozłote zdobycze cywilizacji, za które my więcej może, niż który z innych narodów, krwi wyleliśmy i na zawsze pozostaną wielkie i święte. Szczególną zaś misję mają w tym kierunku, ci, którzy zajmują się wychowaniem młodzieży: rodzice i nauczyciele. Do nich należy zaszczepiać w sercach młodocianych zasady dobre i trwałe, a dobre ziarno gdy raz zapuści korzenie, nie da się nigdy przygłuszyć chwastem. Dalszym środkiem w celu wyplenienia przewrotnych zasad, byłoby zszeregowanie wszystkich rozproszonych sił zdrowych w jedno wielkie stronnictwo, któreby jawnie wypisało na swym sztandarze święte hasła Polski i ludzkości. Blask bijący z takiego sztandaru od razu oślepiłby chmury nietoperzy moralnych, siejących zamęt pojęć, aby w mętnej wodzie ryby łowić. Czyż długo jeszcze utworzenie takiego legionu będzie *pium sed vanum desiderium?* Oby nam kiedyś nie przyszło z rozpaczą zawołać: zapóźno!

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

IX.

(Ciąg dalszy.)

A potem jeszcze mi się zdawało, że wszystko, co mieli sobie powiedzieć, wycałowywali ustami. Jakiś wstyd tamował im słowa. Mieli dosyć śmiałości do pocałunków, a nie mieli jej do rozmowy. Cisza panowała śmiertelna, a wśród ciszy tej dochodził mnie tylko szybki i namiętny ich oddech.

Chwyciłem rękoma za drewniane kraty altany i bałem się, żeby nie rozkruszyły się w drzazgi w tym konwulsyjnym uścisku. W oczach mi ciemniało, czułem zawrót głowy, ziemia uciekała gdzieś z podemnie w nieskończoną głębię. Ale choćby za cenę życia chciałem wiedzieć, co będą mówić, więc jeszcze zapanowałem nad sobą i chwytając spieczonemi ustami powietrze, z czołem przyciśniętem do kraty, słuchałem, licząc każde ich tchnienie.

Cisza trwała jeszcze czas jakiś, wreszcie Hania pierwsza poczęła szeptać:

— Dosyć już! dosyć! Ja nie śmiem w oczy panu spojrzeć. Chodźmy ztąd!

I odwracając w bok głowę, usiłowała się wyrwać z jego ramion.

— O Haniu! co się ze mną dzieje! jakim ja szczęśliwy! — wołał Selim.

— Chodźmy ztąd. Tu kto nadejdzie.

Selim porwał się z miejsca, z błyszczącemi oczyma i rozdętemi nozdrzami:

— Niech świat cały nadejdzie! — odpowiedział — Ja kocham i powiem to wszystko w oczy. Ja sam nie wiem jak się to stało. Walczyłem z sobą, cierpiałem, bo mi się zdawało, że cię kocha Henryk, a ty jego. Ale teraz nie uważam na nic. Ty mnie kochasz, a więc o twoje szczęście chodzi. O Haniu, Haniu!

I tu znowu zaszemrał pocałunek, a potem Hania poczęła mówić głosem miękkim i jakby osłabłym.

— Wierzę, wierzę panie Selimie, ale ja mam panu wiele rzeczy powiedzieć! Mnie chcą podobno wysłać ztąd za granicę do pani. Wczoraj pani d'Yves rozmawiała o tem z panem: Pani d'Yves myśli, że to ja jestem powodem tego dziwnego stanu pana Henryka. Myślą, że on się we mnie kocha. Ja sama nie wiem, czy tak nie jest. Są chwile, że mi się tak zdaje. Ja go nie rozumiem. Ja się go boję. Czuję, że on nam będzie przeszkadzał, że on nas rozłączy, a ja...

I skończyła zaledwie dosłyszalnym szeptem:

— Ja bardzo, bardzo kocham!

— Słuchaj Haniu! — odpowiedział Selim. — Żadna siła ludzka nas nie rozłączy. Gdyby Henryk zabronił mi tu bywać, będę pisywał do ciebie. Mam kogoś takiego, kto zawsze list zaniesie. Będę przyjeżdżał i sam od strony stawu. Szarą godziną wyjdź zawsze do ogrodu. Ale ty nie wyjdziesz. Gdyby cię chcieli wysłać: ja na to nie pozwolę, jak Bóg na niebie. Haniu, nie mów nawet takich rzeczy, bo ja oszaleję! O moja ukochana, moja ukochana!

Porwawszy jej ręce, cisnął je namiętnie do ust. Ona zerwała się gwałtownie z ławki.

— Słyszę jakieś głosy; nadchodzą — zawołała z przestrachem.

Wyszli oboje — chociaż nie nadchodził i nie nadszedł nikt. Wieczorne promienie słońca rzucały na nich blaski złote, a mnie te blaski wydały się takie czerwone, jak krew. Zawlokłem się i ja zwolna ku domowi. Zaraz na skręcie ulicy, spotkałem czatującego Kazia.

— Wyszli. Widziałem ich — szepnął. — Powiedz mi, co mam robić?

— Strzel mu w łeb! — zawołałem z wybuchem.

— Kazio spłonął, jak róża, a oczy zaświeciły fosforycznie.

— Dobrze! — odparł.

— Stój! Nie bądź głupcem. Nie rób nic. Nie mięszaj się do niczego, i na honor twój, Kaziu, milcz. Zdaj wszystko na mnie. Jak mi będziesz potrzebny, powiem ci, ale przed nikim ani słowa.

— Ani pisnę, choćby mnie zabili.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Kazio przejęty teraz ważnością kwestji i wietrzący jakieś groźne wypadki, do których skakało mu serce, poglądał na mnie roziskrzonemi oczyma, potem rzekł:

— Henryku?

— Co?

Szeptaliśmy obaj, choć nikt nas nie słuchał.

— Czy ty się będziesz bił z Mirzą?

— Nie wiem. Może.

Kazio zatrzymał się i nagle zarzucił mi ręce na szyję.

— Henryku! mój złoty! mój serdeczny, mój jedyny! jeżeli ty się chcesz z nim bić, to pozwól, niech ja to zrobię. Już ja sobie z nim dam radę. Niech ja się spróbuję. Pozwól, Henryku! pozwól!

Kaziowi, poprostu, marzyły się czyny rycerskie, ale ja poczułem w nim brata, jak nigdy przedtem, więc przygarnąłem go do piersi z całej siły i rzekłem:

— Nie, Kaziu! Ja jeszcze nic nie wiem. A powtóre: onby nie przyjął. Ja jeszcze nic nie wiem, co się stanie. Tymczasem każ mi osiodłać konia wcześnie. Pojadę przed nim, złapię go w drodze i rozmówię się z nim. Tymczasem pilnuj ich — ale nie daj poznać, że wiesz o czemkolwiek. Każ mi osiodłać konia.

— Czy broń weźmiesz ze sobą?

— Fe! Kaziu! przecież on nie ma przy sobie broni. Nie! Ja się chcę z nim tylko rozmówić. Bądź spokojny i ruszaj zaraz do stajni. — Kazio skoczył natychmiast według polecenia. Ja zaś wróciłem wolno do domu. Byłem jak człowiek, którego uderzono obuchem siekiery w głowę. Mam prawdę rzec: nie wiedziałem co mam robić; nie wiedziałem, jak mam postąpić. Poprostu chciało mi się krzyczeć.

Zanim miałem zupełną pewność utraty serca Hani, pragnąłem mieć tę pewność, sądziłem, że bądź co bądź spadnie mi kamień z serca, teraz nieszczęście odchyliło przyłbicę, ja patrzyłem w zimną, lodowatą twarz, w kamienne jego oczy, i znów nowa niepewność zrodziła mi się w sercu, niepewność nieszczęścia, ale stokroć gorsze poczucie własnej niemocy: niepewność jak z niem walczyć. Serce moje przepełnione było żółcią, goryczą i wściekłością. Głosy ofiarne, głosy poświęceń, które dawniej nieraz wołały mi w duszy: „zrzeknij się Hani dla jej szczęścia; tyś o szczęście jej przedewszystkiem dbać powinien; poświęć się!“ głosy takie umilkły teraz zupełnie. Anioł cichego smutku, anioł rzewności i anioł łez uleciały daleko odemnie. Czułem się robakiem, którego zdeptano, ale o którem zapomniano, że ma żądło. Dałem się dotychczas gnać nieszczęściom jak wilk psom, ale zbyt sponiewierany i przyparty, począłem jak wilk pokazywać im zęby. Jakaś nowa siła czynna, której na imię było: mściwość, rozbudziła się w mem sercu. Począłem czuć jakby rodzaj nienawiści do Selima i Hani. Stracę życie, myślałem sobie, stracę wszystko, co można stracić na świecie, a nie pozwolę na szczęście tych dwojga. Przejęty tą myślą chwyciłem się jej jak potępieniec krzyża. Znalazłem powód do życia: horyzont rozjaśnił się przedemną: odetchnąłem szeroko i swobodnie, jak nigdy przedtem! Rozproszone i zwichrzone myśli wróciły mi do porządku, i całą siłą skierowały się w jednym złowrogim dla Selima i Hani kierunku. Gdy wróciłem do domu, byłem prawie spokojny, chłodny. W sali siedziała pani d'Yves, ksiądz Ludwik, Hania, Selim i Kazio, który wrócił już był ze stajni i nie odstępował ich ani na krok jeden.

— Czy koń jest dla mnie? — spytałem Kazia.

— Jest.

— Odprowadzisz mnie?—wtrącił Selim.

— Mogę. Jadę do stogów, zobaczyć czy

nie ma szkód jakich. Kaziku, puść mnie na swoje miejsce.

Kazio ustąpił się, ja zaś siadłem koło Selima i Hani na kanapce stojącej pod oknem. Mimowoli przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy tak dawno już, dawno, zaraz po śmierci Mikołaja, wówczas, gdy Selim opowiadał bajkę krymską o sułtanie Harunie i wróżce Lali. Ale wówczas mała jeszcze i spłakana Haniulka oparła złotą główkę na mojej piersi i usnęła, dziś taż sama Hania korzystając z mroku zapadającego w sali, ściskała pokryjomu rękę Selima. Wówczas łączyło nas wszystkich troje słodkie uczucie przyjaźni, dziś miłość i nienawiść miały wkrótce pójść z sobą w zapasy. Ale napozór wszystko było spokojne, zakochani uśmiechali się do siebie, ja byłem weselszy niż zwykle, nikt zaś nie podejrzewał jaka to była wesołość. Wkrótce pani d'Yves poprosiła Selima, żeby co zagrał. Wstał, usiadł przy fortepianie i począł grać mazurki Szopena, ja saś zostałem przez chwilę sam na sam z Hanią na kanapce. Zauważyłem że patrzy na Selima jak w tęczę, i że na skrzydłach muzyki ulatuje w krainę marzeń, więc postanowiłem ją sprowadzić na ziemię.

— Prawda, Haniu — rzekłem — ile to ma talentów ten Selim? — gra i śpiewa.

— O, prawda! — rzekła.

— A przytem co to za piękna twarz, spojrzyjno w tej chwili na niego.

Hania poszła za kierunkiem oczu moich. Selim siedział w mroku, tylko głowa jego oświecona była ostatniemi promieniami zorzy wieczornej, a w tych blaskach, ze wzniesionemi oczyma, wyglądał jak natchniony, bo też i był natchniony w tej chwili.

— Prawda jaki piękny, Haniu? — powtórzyłem.

— Czy pan go bardzo kocha?

— Na tem mu nic nie zależy, ale kobiety kochają go. Ach! jakże go kochała ta pensjonarka Józia.

Niespokojność zarysowała się na gładkiem czole Hani.

— A on? — spytała.

— Ej! on dziś kocha tę, jutro inną! On nigdy długo jednej nie może kochać. Taka już natura. Jeżeli ci powie kiedy, że cię kocha, nie wierz mu: (Tu zacząłem mówić z naciskiem) będzie mu chodziło o twoje pocałunki — nie o twoje serce — rozumiesz?

— Panie Henryku!

— Prawda! co też ja mówię! Przecie ciebie to nic nie obchodzi. A zresztą, ty taka skromna, czyżbyś ty dała swój pocałunek obcemu. Haniu, przepraszam cię, bo mi się zdaje, żem cię obraził nawet przypuszczeniem. Tybyś nigdy na to nie pozwoliła. Prawda Haniu? nigdy?

Hania zerwała się i chciała odejść, ale schwyciłem ją za rękę i zatrzymałem przemocą. Usiłowałem być niby spokojny, a wściekłość dusiła mnie niby kleszczami za gardło. Czułem, że tracę władzę nad sobą.

— Odpowiedz! — rzekłem z tłumionem uniesieniem — inaczej cię nie puszczę.

— Panie Henryku! czego pan chce? co pan mówi?

— Ja mówię... ja mówię... — wyszeptałem z zaciśniętemi zębmi — ja mówię, że wstydu nie masz w oczach? Ha?!

Hania siadła bezwładnie napowrót na kanapce; spojrzałem na nią: blada była jak płótno. Ale litość nad tem biedactwem uleciała odemnie. Chwyciłem ją za rękę i cisnąc za drobne paluszki, mówiłem dalej:

— Słuchaj byłem u nóg twoich! Kochałem cię więcj niż świat cały...

— Panie Henryku!

— Cicho bądź! widziałem i słyszałem wszystko! Jesteś bezwstydna! Ty i on!

— Mój Boże! mój Boże!

— Jesteś bezwstydna! Jabym nie śmiał ucałować krańca twojej sukienki, a on całował cię w usta. Ty sama garnęłaś się do pocałunków! Haniu! ja tobą pogardzam! ja cię nienawidzę!

Głos zamarł mi w piersi. Począłem tylko oddychać szybko i łowić powietrze, którego mi brakło w piersiach.

— Zgadłaś! — mówiłem po chwili — że ja was rozłączę. Choćbym miał życie stracić, rozłączę was! choćbym miał zabić ciebie, jego i siebie. Nie prawda co ci mówiłem przed chwilą. On ciebie kocha, onby cię nie porzucił — ale ja was rozłączę!

— O czem tak żywo rozprawiacie? — spytała nagle pani d'Yves siedząca w drugim końcu sali.

Była chwila, że chciałem się zerwać i wypowiedzieć w głos wszystko, alem się opamiętał i odrzekłem niby spokojnym, choć trochę przerywanym głosem:

— Sprzeczamy się, która altana w naszym ogrodzie piękniejsza: różana czy chmielowa?

Selim przestał nagle grać i spojrzał na nas uważnie, a potem odrzekł z największym spokojem:

— Jabym tam oddał wszystkie inne za chmielową.

Nie zły masz gust — odpowiedziałem. — Hania przeciwnego jest zdania.

— Czy naprawdę, panno Hanno? — spytał.

— Tak — rzekła cicho.

Znowu czułem, że nie wytrwam dłużej w tej rozmowie. Jakieś czerwone koła zaczęły mi migać przed oczyma. Zerwałem się, i wybiegłszy przez kilka pokojów do sali jadalnej, porwałem za stojącą na stole karafkę z wodą i wylałem ją sobie na głowę. Potem nie wiedząc już co czynię, grzmotnąłem karafką o ziemię, aż rozprysła się na tysiąc kawałków i wybiegłem do sieni.

Koń mój i Selima stały już osiodłane przed gankiem.

Na chwilę wpadłem jeszcze do mego pokoju, aby jako tako obetrzeć się z wody, i uczyniwszy to, wróciłem do sali.

W sali zastałem księdza Ludwika i Selima w największem przerażeniu.

— Co się stało? — spytałem.

— Hania zasłabła, zemdlała.

— Co? jak? — krzyknąłem chwyciwszy księdza za ramię.

— Zaraz po twojem odejściu wybuchnęła głośnym płaczem, a potem zemdlała. Pani d'Yves zabrała ją do siebie.

Nic nie rzekłszy, poleciałem do pokoju pani d'Yves. Hania istotnie wybuchnęła głośnym płaczem i zemdlała, ale paroksyzm już minął. Gdym ją ujrzał, zapomniałem o wszystkiem i rzuciwszy się na kolana przed jej łóżkiem jak szalony, nie zważając na obecność pani d'Yves, krzyknąłem:

— Haniu! moja złota! moja kochana! co tobie?

— Nic! już nic! — odpowiedziała słabym głosem. I próbowała się uśmiechnąć. — Nic już! Doprawdy nic.

Przesiedziałem u niej z kwadrans. Potem pocałowałem ją w rękę i wróciłem do sali. Nie prawda! nie nienawidziłem jej. Kochałem ją jak nigdy! Ale za to, gdym ujrzał Selima w sali, miałem ochotę go udusić. O! jego to — jego! nienawidziłem teraz z głębi duszy. Obaj z księdzem pobiegli do mnie natychmiast.

— No! jakże tam?

— Już dobrze. I zwróciwszy się do Selima, rzekłem mu do ucha:

— Jedź do domu. Jutro zjedziemy się u kopców na skraju lasu. Chcę z tobą pomówić. Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał. Nasze stosunki muszą się skończyć.

Selimowi krew uderzyła na twarz.

— Co to znaczy?

— Jutro to ci wytłumaczę. Dziś nie chcę. Rozumiesz? Nie chcę. Jutro o szóstej rano.

To rzekłszy wróciłem do pokoju pani d'Yves. Selim podbiegł za mną parę kroków, ale zatrzymał się we drzwiach. W kilka minut później widziałem go przez okno jak odjeżdżał.

Siedziałem z godzinę w pokoju przyległym do pokoiku Hani. Wejść do niej nie mogłem, bo osłabiona płaczem usnęła. Pani d'Yves wraz z księdzem Ludwikiem zeszli na jakąś naradę do ojca. Siedziałem sam aż do pory herbaty.

Przy herbacie spostrzegłem, że ojciec, ksiądz i pani d'Yves mieli jakieś pół tajemnicze, pół surowe twarze. Wyznaję, że ogarnęła mnie pewna niespokojność. Czyżby mieli się domyślać czego? Było to prawdopodobne; bo bądź co bądź, działy się między nami młodymi dzisiaj rzeczy dość nienaturalne.

— Miałem dziś list od matki — rzekł do mnie ojciec.

— Jakże zdrowie matki?

— Zupełnie dobrze. Ale jest niespokojna o to co się dzieje w domu. Chce wracać niedługo, ale nie pozwolę na to; musi jeszcze ze dwa miesiące zabawić.

— O cóż matka jest niespokojna?

— Wiadomo ci przecie, że we wsi panuje ospa — byłem tyle nieostrożny, żem jej o tem doniósł.

Co prawda, nic nie wiedziałem, że we wsi panuje ospa. Może wreszcie i słyszałem o tem, ale wiadomość odbiła się zapewne o moje uszy jak o ścianę.

— Czy ojciec nie odwiedzi matki? — spytałem.

— Zobaczę. Pomówimy o tem.

— A to już blisko rok jak kochana bawi zagranicą — rzekł ksiądz Ludwik.

— Zdrowie jej tego wymaga. Przyszłą zimę będzie już mogła tu spędzić. Pisze, że czuje się daleko zdrowsza, tylko tęskni za nami, i jest niespokojna — odrzekł ojciec. — A potem zwróciwszy się do mnie, dodał:

— Po herbacie przyjdź do mego pokoju. Chcę z tobą pomówić.

— Dobrze, ojcze.

Wstałem i razem ze wszystkimi posze-

*

dłem do Hani. Była już zupełnie dobrze; chciała nawet wstać, ale ojciec na to nie pozwolił. Koło godziny dziesiątej wieczór, jakaś bryczka zadudniła przed gankiem. Przyjechał doktor Stanisław, który od południa bawił w chatach włościańskich. Wybadawszy dobrze Hanię, oświadczył, że wcale nie jest chora, ale potrzebuje rozrywki i odpoczynku. Zabronił się jej uczyć, kazał zaś się bawić i być wesołą.

Ojciec radził się go, czy lepiej wywieźć małe siostrzyczki na czas póki epidemja nie przeminie, czy też można je trzymać w domu? Doktor uspokoił go, mówiąc, że nie ma niebezpieczeństwa, sam umyślnie napisał do matki, żeby była spokojną. Potem zaś udał się na spoczynek, bo upadał ze znużenia. Odprowadziłem go ze świecą w ręku do stancji, gdzie miał ze mną nocować — i samemu przyszła mi ochota już się położyć, bo byłem nad wszelki wyraz zmęczony wrażeniami dnia dzisiejszego, gdy wszedł Franek i rzekł:

— Starszy pan prosi panicza do siebie.

Poszedłem natychmiast. Ojciec siedział w swoim pokoju przy biurku, na którem leżał list matki. W pokoju był obecny także ksiądz Ludwik i pani d'Yves. Serce biło mi niespokojnie, jak obwinionemu, który ma stanąć przed sądem, bo byłem prawie pewny, iż zechcą mnie badać o Hanię. Jakoż ojciec począł mówić ze mną o rzeczach nadzwyczaj poważnych. Postanowił siostry wraz z panią d'Yves wysłać do Kopczan, do stryja, dla spokojności matki. Ale w takim razie Hania musiałaby zostać sama między nami. Otóż ojciec sobie tego nie życzył. Przytem oświadczył, że wie, iż dzieją się między nami młodymi rzeczy, których badać nie chce, ale których nie pochwala — spodziewa się jednak, że wyjazd Hani położy im tamę. Tu wszyscy poczęli patrzeć na mnie badawczo, ale niepomału zdziwili się, gdy zamiast rozpaczliwie opierać się wyjazdowi Hani, przystałem nań z radością. Ja zaś miałem poprostu to wyrachowanie, że wyjazd ten równał się zerwaniu wszelkich stosunków z Selimem. A przytem jakaś nadzieja, nakształt błędnego ognika zamigotała mi w sercu, że to ja, a nie kto inny odwiozę Hanię do naszej matki. Wiedziałem, że ojciec nie może wyjechać, bo żniwa były za pasem; wiedziałem, że ksiądz Ludwik nigdy za granicą nie był, pozostawałem więc tylko ja. Ale była to słaba nadzieja i wkrótce też jak ognik błędny zgasła, gdy ojciec oświadczył, że pani Ustrzycka za parę dni wyjeżdża do kąpieli morskich, i że już się zgodziła zabrać z sobą Hanię i dowieźć ją do matki. Pojutrze miała Hania wyjechać na noc w drogę. Zasmuciło mnie to niepomału, wolałem jednak w każdym razie, żeby wyjechała nawet bezemnie niż żeby została. Przytem wyznaję, że niepomierną radość sprawiała mi myśl, co też uczyni i jak przyjmie tę wiadomość Selim, gdy mu ją jutro powiem. (C. d. n.)

WOLNOŚĆ i PAŃSTWO.

STUDJUM SPOŁECZNE.

Wolność! ileż głębokich myśli, ileż szlachetnych uczuć, dążeń i pragnień w wyrazie tym magicznym; ileż on wysileń nadludzkich wywołał, ileż krwi i łez potoków dla niego płynęło i płynie. Wielki i mały, stary i młody, bogaty i ubogi, wszyscy do wolności wzdychają, wszyscy ku niej wyciągają ramiona; tęsknią i marzą, pracują i walczą; lecz przecie ciągle jeszcze pragną i pragną. Czyżby wolność nigdy nie dała się osiągnąć? Nie, zaiste, stokroć nie — myśli i czynów a osiągniemy ją prędzej czy później z pewnością.

Lecz czemże jest ta wolność, ku której wzdychamy, dążymy, za którą walczymy? Nie jestże to czasem zwodnicza jaka mara, urojenie? Pytajmy ludzi co pod wolnością rozumieją, każdy inaczej odpowie. Pytajmy Polaka, powie nam: wolność, to wskrzeszenie Ojczyzny; Niemiec: to zjednoczenie; republikanin: to rzeczpospolita; despota: to usunięcie konstytucji; jezuita: to wolność nawracania, choćby mieczem i ogniem; więzień: to wypuszczenie z więzienia itd. Czyż wobec tak różnych pojęć wolności, a nawet częstych między niemi sprzeczności, czyż wtedy, gdy jeden to za wolność uważa, co drugi niewolą właśnie być mieni, można użyć jednego wyrazu na oznaczenie tego wszystkiego? Czy można postawić jedno pojęcie, pod które wszystkie te sprzeczne życzenia i pragnienia podciągnąć by się dały? Zaiste, można.

Zastanowiwszy sie trochę nad tem, co każdy pod wolnością rozumie, widzimy, że pojmuje pod tym wyrazem wyswobodzenie od więzów, które go najbardziej gniotą; nieistnienie tego co dla jego duszy, jego umysłowego ustroju tamę stanowi, co mu działalności jego rozwinąć nie pozwala. Bez pojęcia owych ludzką działalność krępujących więzów, nie byłoby pojęcia wolności. W człowieku tkwi popęd do działania i popycha go naprzód, w nieskończoność. Podstawą tego działania jest człowiek sam, jest jego umysłowy ustrój. Gdy człowiek na tej podstawie do działania dążąc spotyka opór, gdy dążenia swe i czyny dlaczegoś zewnętrznego powstrzymać musi, wtedy uczuwa pewną próżnię wewnętrzną, próżnię niespełnionego posłannictwa, lub niezadowolonych pragnień i wyrzeka wówczas słowo goryczy pełne: Nie jestem wolny. Taka próżnia niewoli, cierpień dla człowieka jest źródłem. Że tak jest, nikt zapewne nie wątpi. Chcąc zmniejszyć ludziom cierpienia te, należałoby dać im wolność, a więc dozwolić każdemu robić co mu się podoba. Lecz czyż to możliwe? Zapewne że nie. To też wystąpią zaraz zwolennicy teorji większości i powiedzą: zrzeknij się człowieku małej części twej wolności, byś mógł większą jej część w całości zachować. Uchyl głowę przed prawem, a wolno ci będzie robić wszystko co temu prawu przeciwne nie jest. Inni znowu wystąpią by rzeknąć: Wszystkich zadowolnić nie można; starajmy się zadowolnić większość. Niechaj ta większość postępuje wedle swego upodobania, a mniejszość niech cierpi od jej ucisku, i ulega prawu konieczności. Inni wreszcie powiedzą: Dobrym pozwalamy robić co im się podoba, źli niech szanują dobrych, a sami niech znoszą niewolę.

Lecz czyż nie było i nie ma praw, które człowiekowi większość jego wolności odbierają, dozwalając mu kręcić się tylko w zaczarowanem kole powszedniego życia, i czynności, które tylko ludzi bezmyślnych zadowolnić mogą? Czyż można kiedykolwiek powiedzieć stanowczo po której stronie większość? Czyż większość chwili obecnej jutro mniejszością stać się nie może? A wreszcie któż jest w stanie wyrzec, że to a to jest dobrem lub złem prawdziwie? Jak pod tym względem opinja publiczna mylić się może, dość wskazać na ludzi, których dziś za wielkich uznajemy, a którzy wszyscy prawie przez większość społeczną już potępieni zostali. Jest jednak w owej teorji większości jedna rzecz prawdziwa, a mianowicie, że należy ciągle dążyć do tego, by liczba cierpiących między ludźmi jak najmniejsza była; by liczba niewolników między nimi coraz więcej malała. Dążenia do tego widzimy w historji, widzimy w rozwoju życia ludów, ale jakże dziwne dążenie to przechodzi koleje!

Zacznijmy nasze rozpatrywanie niejako *ab ovo*. Człowiek jak go dzisiaj widzimy, pod trojakim względem uważany być może:

1. Jest człowiek cząstką wszechświata, cząstką natury; należy w niej do rzędu organizmów. Można go więc jak każdy inny organizm uważać za produkt, narzędzie i medjum działania sił kosmicznych. Działanie sił na podstawie praw pewnych, stworzyło organizmy, a ostatecznie człowieka. Nauki przyrodzone wykazują dziś, że istnieje jedna tylko siła w naturze, w wszechświecie całym; to zaś, co my przywykliśmy nazywać pojedynczych sił mianami, są to tylko modyfikacje jednej powszechnej siły. Siły te działają na podstawie praw koniecznościowych, powstanie więc człowieka koniecznością wywołane było. Działanie siły nie ustaje nigdy, bo nic w naturze nie ginie: to też i te siły które stworzyły człowieka nie przestały działać, lecz działają w nim i przez niego. Z tego względu należałoby powiedzieć, że nietylko człowiek sam, lecz wszystko to, co się w nim i przez niego dzieje, a więc i każdy czyn jego konieczności rządzony jest, jest koniecznym w porządku wszechświata.

Natura, chcąc by każda organiczna istota spełniła posłannictwo swe, czyli chcąc by ona dążyła do ogólnego punktu ciężkości, utworzyła ją tak, by znajdując cel sama w sobie, i dążąc do jego osiągnięcia, ogólny cel ziszczała. Cel ten w człowieku, o ile świadomość jego udziałem, obejmuje to, co rozumiemy pod nazwą interesów, bądź materjalnych, bądź moralnych. Tak więc człowiek, dążąc do zaspokojenia swych pragnień, zrealizowania życzeń swoich, czyli działając we własnym interesie, ziszcza tem samem przeznaczenie i wypełnia posłannictwo swoje wśród natury i społeczeństwa.

2. Człowiek uważany w stosunku do owych materjalnych i moralnych interesów i w dążności świadomej do ich zrealizowania, przedstawia się nam jako istota moralna i psychologiczna. Pod tą postacią uważany człowiek, działa na podstawie wewnętrznego swego ustroju, na podstawie umysłowości. Siły, które przez niego zjawiska wywołują, zowiemy wolą; same zaś te zjawiska czynami. Czyny więc człowieka mają za zadanie zadosyćuczynić jego tak zwanym moralnym i materjalnym interesom.

3. Interesa owe, powstające na podstawie praw naturalnych, koniecznościowych, biorące początek nie tylko w naturze człowieka, ale w ogólnym ustroju wszechświata, skłaniają człowieka do wejścia w stosunki z innymi ludźmi, zniewalają pojedyncze jednostki do utworzenia społeczeństwa. Nie trzeba więc szukać początku społeczeństwa, ani w umowie, jak chce Rousseau, ani w tem, że człowiek jest zwierzęciem społecznym, *ζῶον πολιτικόν*, jak twierdzi Arystoteles bo w pierwszym razie szukamy początku społeczeństwa w jego skutku, gdyż umowa tylko między uspołecznionymi ludźmi istnieć może;

w drugim zaś razie otrzymamy tylko *petitio principi*. Cóż bowiem sprawia, że człowiek jeden właśnie z pośród zwierząt jest zwierzem społecznem? Otóż społeczeństwo było rzeczą użyteczną dla jednostki, konieczną dla porządku wszechświata, i dlatego powstało.

Społeczeństwo rządzone jest prawami koniecznościowemi: wola jednostek wobec tych praw nie znaczy nic. Cyfry statystyczne i historja, wykazujące perjodyczność i postępowość w zjawiskach społecznych, przemawiają za tem dość silnie.

Człowiek jako istota naturalna działa na podstawie praw koniecznościowych, jako istota społeczna, ulega im także; w obu tych razach o wolności woli mowy być nie może. Tylko człowiek jako istota psychologiczna i moralna uważany kwestję tę nasuwa. Gdybyśmy każdy czyn człowieka uważali za zjawisko świata przyrodzonego, to np. czyn jedzenia uważać by można za zjawisko chemiczne, fizyczne, fizjologiczne, mechaniczne itd. i to nietylko ze względu na skutek, ale nawet ze względu na objaw sam i przyczyny jego. Tym sposobem i przyczyny kradzieży, ów interes materjalny, głód zaspokoić mającej, w tej samej dziedzinie dopatrzyć by się można. Zaspokojenie głodu przez zużycie pokarmów nietylko jednak w interesie człowieka się dzieje. Przez zużycie i przemianę żywności, zadość się czyni i ogólnemu koniecznemu interesowi wszechświata, w którym takie zużycie i przetworzenie potrzebnem było. Toż samo można powiedzieć o każdym czynie człowieka. A. zabija brata B. Wskutek tego czynu następuje rozkład trupa; wywiązuje się pewna ilość gazów potrzebnych do życia roślin; ciało staje się pokarmem dla robaków, ciepło zwierzęce uchodzi, szukając sobie innego pomieszczenia, itd., słowem już w skutek tego czynu A., zachodzi w świecie zewnętrznym wielka ilość zmian użytecznych dla ogólnego porządku przyrody. Ale nie dość na tem. B. mszcząc się śmierci swego brata, podpala stodoły A. I znów wywiązuje się wielka ilość kwasu węglowego, ciąg powietrza, wielka ilość ciepla; woda do gaszenia użyta przemienia się w parę itd. Czyny owe przecież pośrednio wiele jeszcze innych rzeczy wywołać mogą. Wszystkie zaś te rozliczne zamiany konieczne były z pewnością i użyteczne, gdyż inaczej niezawodnieby nie zaszły. Jeżeli bowiem przypuszczamy, że w zakresie indywidualnej działalności człowieka głupstwo zajść może, to przecież nikt twierdzić nie zechce, że w dziedzinie przyrody głupstwa jakowe dziać się mogą.

(C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY

BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

VIII.

— Dziwi mnie mocno, że pan się nie obawia puszczać się z transportem towarów w podróż po stepie dzikim i bezludnym, pełnym band zbójeckich, mając do obrony jedną tylko dubeltówkę i kilka jataganów — rzekł Burnaby do Chiwańczyka po zapłaceniu haraczu jego gościnności, to jest po spożyciu paru kawałków baraniny i wypiciu czarki herbaty z szafranem i baranim łojem.

— Pełnym band zbojeckich? kto panu mówił o bandach zbójeckich? W tej okolicy my tu ich wcale nie widujemy. Tam, dalej, na południe, koło fortu Pietro-Aleksandrowskiego łotrzykują czasami po stepie pod wodzą żołnierzy a nawet i oficerów moskiewskich, bandy złożone z samych wyrzutków kirgizkich; ale tu, w tej okolicy, step jest zupełnie bezpieczny.

— Jakimże sposobem, kiedy mnie tyle w Kazali mówiono o napadach i mordach?

— Dziwi mnie to bardzo, gdyż od tylu lat jeżdżę z towarami z Chiwy do Kazali, a nietylko nigdy mi się coś podobnego nie zdarzyło, ale nawet nigdy nie słyszałem o żadnym podobnym wypadku. Trzeba panu przedewszystkiem wiedzieć, że Kirgizi nie są wcale wojowniczym ludem; to nie to co Turkomani. Oprócz tego nie mają oni zgoła broni palnej, gdyż jaką kiedy posiadali, to im odebrali Moskale. Jeżeli więc spotkasz pan na stepie ordę kirgizką, to chociażby się ona ze stu ludzi składała, dość jednej dubeltówki, aby ją w respekcie utrzymać. Jeżeli zaś pan nie masz broni palnej, to opadną pana jak stado żebraków i zabiorą wszystkie wiktuały. Innych rzeczy, ani pieniędzy nie dotkną, ale baraniny ani kęska nie zostawią.

— A w okolicy fortu Pietro-Aleksandrowskiego?

— O! tam to już niebezpiecznie.

— Dlaczegoż? przecież tam jest załoga moskiewska, która powinna strzedz porządku i bezpieczeństwa. Wszakże Moskale usprawiedliwiali się przed naszą królową, że dlatego tylko tę twierdzę zbudowali, aby bronić karawany, idące ze środkowej Azji, od napadu band zbójeckich.

— Tymczasem dzieje się odwrotnie. Póki twierdzy nie było, póty każdy mógł bezpiecznie jeździć wzdłuż całego stepu Kizilkumskiego. Dzisiaj zaś każda karawana stara sie przedewszystkiem twierdzę ominąć i czuje się tem bezpieczniejsza im dalej jest od niej. A objeżdżać ją trzeba porządnie w koło, żeby nie dostać się w łapy moskiewskie. Bo Moskale trzymają straże na kilka mil w promieniu i jak tylko dostrzegą karawanę albo natrafią na jej ślad, wnet puszczają się za nią w pogoń, dopędzają i nawracają do twierdzy. Tam każą naprzód płacić dziesięcinę na rzecz rządu, następnie łapówkę dla kapitana, potem dla oficerów, wreszcie nagrodę dla tych żołnierzy, którzy karawanę wykryli. Gdy kupiec dopełni tego wszystkiego, wtedy go wypuszczają z resztą towarów, ale po to tylko, żeby jak ujedzie mil kilka lub kilkanaście, napaść na nią i obrabować do nitki. Naturalnie, że ci którzy rabują, nie mają pozornie żadnego związku z załogą twierdzy; w gruncie jednak rzeczy są to ci sami żołnierze w spółce z Kirgizami. Pierwsi wskazują Kirgizom drogę kędy karawana pojechała; ci śledzą za nią pod dowództwem kilku przebranych *sołdatów* i gdy karawana odjedzie mil kilka od twierdzy, napadają na nią, zabierają wszystko, a potem dzielą się wspólnie łupami.

— Więc jakże robicie, żeby mimo to handel prowadzić?

— Omijamy twierdzę. Naprzykład z Kazali jadąc do Chiwy, jedziemy na Kalenderhanę i twierdzę zostawiamy na lewo na jakie mil 12 do 15. Tak daleko Moskale nie zapuszczają się w głąb stepu. Zresztą w Kalenderhanie mieszka już dużo Chiwańczyków, którzy z całego serca nienawidzą Moskali i byliby z największą przyjemnością zalali im za skórę, gdyby oni w niewielkiej liczbie zjawili się z wizytą.

— A daleko to ztąd do Kalendarhany?

— Dni 9 do 10 drogi. Jestto najkrótsza droga do Chiwy i nie rozumiem dlaczego pan, mając zamiar zwiedzić Chiwę, robisz takie koło na twierdzę, kiedy tu masz prostą drogę przed sobą.

— Muszę. Tak mam wytkniętą marszrutę. Zresztą jakżeby mnie chan przyjął bez żadnej rekomendacji?

— Z pewnością lepiej niż z rekomendacją moskiewską. Ot, wiesz pan co, jedź pan z nami. My znamy dobrze tę drogę i dowieziemy pana zdrowo i cało do Chiwy.

Burnaby ślicznie podziękował Chiwańczykowi za jego grzeczność, ale delikatnie uchylił propozycję. Tak nakazywała przezorność. Jaką że bowiem miał gwarancję, że tak z pozoru uczciwie wyglądający kupiec nie jest w gruncie rzeczy jakim oszustem lub może zbójem? Tymczasem ze swoimi Kirgizami był o tyle bezpieczny, że za ich uczciwość odpowiadał poniekąd jenerał Gołowin. Wolał więc z nimi pozostać, a z tem wszystkiem szukać sposobności, aby ominąć twierdzę i ruszyć wprost na Kalenderhanę.

Sposobność ta nadarzyła się w parę dni po tem. Wprawdzie przewodnik Burnaby'ego dokładał ze swej strony wszelkich usiłowań, aby Anglik jak najrzadziej widywał się z Chiwańczykiem. Nazajutrz rano, a właściwie zaraz po północy, pierwszy zerwał się z poslania, zbudził Burnaby'ego i gwałtem napierał się żeby natychmiast, jeszcze przed świtem, puścić się w dalszą podróż. Chciał bowiem skorzystać z tego, że Chiwańczyk pogrążony jest jeszcze w śnie głębokim; a więc pragnął ubiedz przed nim spory kawał drogi. Ale pobudzały go do tego nie względy polityczne, lecz wyłącznie gastronomiczne. Szło mu o uratowanie tego kawała baraniny, któryby spożył kupieć chiwański, gdyby znowu złożył wizytę Burnaby'emu. Kirgiz zaś z bystrością bankierów wiedeńskich obrachowal, jaką to tantiemę opłaca jego żołądek każdą oficjalną recepcję reprezentanta Chiwy u reprezentanta Wielkiej Brytanji. Wolał przeto tantiemę zachować dla siebie, a oba te narody utrzymać na stopie obojętności dyplomatycznej. Raz przyszedłszy do tego przekonania, trwał w niem z wytrwałością *Verwaltungsratów* kolei galicyjskich. Tantiemy zachowywał dla siebie, nie bacząc wcale ani na moralną ani na polityczną stronę ich graczy. A rezultat tego wszystkiego, jest ten, że czytelnicy *Tygodnia* pozbawieni są tych wszystkich, niewątpliwie ciekawych i zajmujących rzeczy, jakieby Chiwańczyk zakomunikował Burnaby'emu, a któreby Burnaby złożył na ołtarzu dziejów cywilizacji moskiewskiej.

Ta „tantiemomanja" Kirgiza nasunęła zrazu oryginalną myśl Burnabyemu. Miał on przed sobą 12 dni do fortu a najwyżej 9 do Kalenderhany; żywności zaś posiadał na dni 15, przy umiarkowanem użyciu, to jest dwa barany dziennie i nadto dziennie ze 2 kilogramy łoju. Oceniając jednak apetyt Kirgizów i Nazara, nietrudno mu było przyjść do wniosku, że cały ten zapas baranów i łoju spożyją oni w przeciągu tygodnia, jeżeli — mówiąc stylem programowym filantropijnych koncertów — nie postawi się tamy dobroczynności ich apetytowi. W takim razie nadejdzie chwila, w której Kirgiz, ratując się przed głodem, uda się do Kaleaderhany jako do stacji bliższej. Ale każdy

się zgodzi, że był to środek zbyt radykalny. Na nieznanym i bezludnym stepie, metodę umyślnego pozbywania się żywności można było przy niesprzyjających warunkach życiem przypłacić. Cóżby bowiem się stało, gdyby zjedli ostatniego barana i ostatni łut łoju, a do najbliższej siedziby ludzkiej było ze trzy dni drogi? Kirgiz w sprawach ekonomicznych zdradza wiele podobieństwa do naszej braci szlachty. Zjada wszystko co ma, nie pytając o jutro. Nie jeden z historjozofów z faktu tego podobieństwa wyprowadziłby szereg wielkiej wagi politycznych wniosków. My je odgadujemy instynktowo, a z naszego doświadczenia dziejowego zaczerpnąć możemy sporo powodów na pochwałę Burnabyego za to, że po głębszej rozwadze odstąpił od tego tak szalonego projektu.

— Cóż u kata,—rzekł do siebie Burnaby— czyż ta szczęśliwa gwiazda, która mnie zawiodła na step Kizilkumski, o którego nawet istnieniu nie wiedziałem siedząc w Londynie, nie zdoła mnie teraz zaprowadzić do Kalenderhany, o której istnieniu nietylko że wiem, ale którą wyobrażam sobie jako jakąś oazę rajską. Szukajmy tylko bacznie sposobności i nie opuśćmy żadnej.

A otoż i ona. Zakulał pewnego dnia koń Burnabyego. Gdyby inkwizycję hiszpańską wymyślili kawalerzyści a nie dominikanie, toby z pewnością na czele tortur postawili jazdę na kulawym koniu. To rytmiczne potykanie się konia i w ślad zatem idące rytmiczne podrzucanie jeźdźca sprawia to, że po paru godzinach takiej jazdy wydaje się mu jak gdyby rozluzowały się wszystkie jego stawy, popuszczały ścięgna i przy pierwszem nieco silniejszem uderzeniu rozlecą się jego członki na wszystkie cztery strony świata.

— Stój! już dalej nie mogę — rzecze Burnaby — muszę odpocząć. Zdaje mi się, że mi się mózg przewrócił dnem do góry. Oh! oddałbym teraz pół królestwa za konia.

— Co? ileby pan dał za konia?

— No, ile? Dałbym dużo, dwa razy tyle co wart.

— Bo jabym mógł dla Waszej Miłości postarać się o konia.

— A to w jaki sposób?

— W Kalenderhanie mieszka mój brat i on ma świetną stadninę, taką, jakiej nikt nie ma nawet w Kazali.

— I cóż z tego?

— Zwrócilibyśmy w stronę nocy (na zachód) i zajechalibyśmy do Kalenderhany. Ztąd niedaleko, zaladwie dwa dni drogi, a miałaby Wasza Miłość dzielnego konia.

— Ale tym sposobem nałożylibyśmy spory kawał drogi. Tutaj dwa dni, z Kalenderhany do fortu trzy, z fortu do Chiwy znowu dwa, więc razem tydzień, a ja muszę piątego dnia być w Chiwie.

— To Wasza Miłość pojechałby wprost do Chiwy. Ja znam i tamtą drogę. W Chiwie już byłem kilka razy.

— No to zawracaj.

— A co mi da Wasza Miłość za pokazanie drogi do Kalenderhany? Bo ja się umawiałem tylko od drogi do fortu.

— A cóż chcesz?

— Sto baranów.

— Co? To ty chyba chcesz się na nowo żenić. Sto baranów, ale zmiłuj się człowiecze, toż przecie Chiwańczyk byłby mi darmo drogę wskazał.

— Jak sobie Wasza Miłość chce, ale taniej nie mogę. Co dla Waszej Miłości sto baranów,— bagatela. Tłuc się dla nich na tak kulawej szkapie doprawdy nie warto. A ja rzeczywiście mam zamiar ożenić się, bo już znalazłem kupca dla mojej żony. Daje mi za nią trzydzieści baranów, a ja znowu upatrzyłem sobie w Kalenderhanie jednę dziewczynę, za którą rodzice żądają 250 baranów.

— Dwieście pięćdziesiąt baranów!—zawołał Nazar—to ty szalenie drogie kupujesz żony. Musi chyba być djabelnie piękna.

— Zobaczysz, jeżeli Ich Miłość zgodzi się mi dać sto baranów, to jak będziemy w Kalenderhanie przyprowadzę ją do naszej kibitki.

— Ale przecież temi stoma baranami nie dopełnisz jeszcze kwoty, której wymagają od ciebie — rzecze Burnaby.

— Mam nadzieję, że oni ustąpią taniej, za dwieście. A w takim razie mógłbym już kupić, bo jak za żonę wezmę trzydzieści, od Waszej Miłości sto, i te 15 rubli, które mi się należą za drogę do portu, to nietylko dam im 200 baranów, ale jeszcze z dziesięć zostanie mi na sprawienie wesela.

Burnaby ustąpił; trudno mu było rzeczywiście dłużej targować się o taką bagatelkę, zwłaszcza, że gdyby od niego samego zależało oznaczenie ceny, za którąby się opłacił od podróży do fortu, to byłby niewątpliwie oznaczył ją wyżej. Ale potargować wypadało coskolwiek, choćby dla tego, żeby się nie zdradzić ze zbytnią skwapliwością do ominięcia fortu. Kiedy więc Kirgiz okazał się nieugiętym, a Anglik porządnie nakłął swojego konia, wtedy obie strony targu dobiły, karawana zaś Burnabyego skręciła na prawo, ku stronie nocy, i nazajutrz przed wieczorem stanęła w Kalenderhanie.

Przed samym jednak wjazdem do Kalenderhany odbyła się komiczna scena, którą tu zanotować wypada z tego względu, że maluje ona oryginalny charakter Kirgizów, tak w ogóle mało nam znany. Zwykle bowiem wyobrażamy sobie— nie wiedzieć dlaczego — Kirgizów jako plemię bitne, waleczne, całe życie pędzące na koniu, zahartowane w boju, słowem coś w rodzaju afrykańskich beduinów. Tymczasem w rasie mongolskiej Kirgizi są tem, czem żydzi w rasie kaukaskiej: Handlarze podszyci tchórzem. Wypas baranów, włóczęga z karawanami, handel i lichwa, oto ich zatrudnienie narodowe; a główne ich cechy, namiętność płciowa, ztąd rozmnażanie się tak szybkie jak żydów, dalej jaszczurcza chytrość i przebiegłość, i wreszcie brak wszelkiej odwagi, wszelkiego męztwa. Popatrzmy jak walczą ze sobą.

Na milę przed Kalenderhaną, nad brzegiem stepowego strumyka, zwanego Karasol, spotkała karawana Burnabyego kilku Kirgizów, jadących do Kazali. Gdy zrównali się ze sobą, przewodnik dotknął ręką do czoła i krzyknął na całe gardło *Salam Aalejkom.* Ale zamiast usłyszeć grzeczną odpowiedź w szyku odwrotnym, otrzymał wyzwanie tej treści:

— A ty podła hjeno, znowu prowadzisz do nas tych psów niewiernych!

Ten ostatni nieparlamentarny przydomek stosował się do Burnaby'ego, którego Kirgizi wzięli za Moskala. Z tego też powodu Burnaby nie czuł się dotkniętym, gdyż z pewnością nie zależało mu wcale na tem, aby bronić honoru Moskala. Ale przewodnikowi wypadało odeprzeć zarzut, który w nim dopatrywał podobieństwa ze zwierzęciem, żywiącem się mięsem trupów. Odeprzeć zaś mógł najsnadniej jedynie przez wyszukanie równoważnej analogji między Kirgizem a jakiem innem podobnie nieczystem zwierzęcem. Tak też uczynił. Kirgiz nie uznał znowu za właściwe ostatniego słowa dać przeciwnikowi i odparł jakiemś porównaniem bardziej jeszcze słonem. Przewodnik puścił także wodze swojej fantazji i obaj jak gdyby na wyścigi zaczęli się popisywać ze swojemi znajomościami w dziedzinie zoologji. Gdy zwierząt zabrakło, przyrównywali się do roślin, a gdy wkrótce i roślin zabrakło — flora tameczna jest bardzo uboga — zaczęli wtedy w grę wprowadzać swoich krewnych, zwłaszcza płci niewieściej.

— Gdybym chciał, kupiłbym twą matkę za ogon barani, jeszcze przed twojem urodzeniem — rzecze Kirgiz.

— A ja i kopyta baraniego dać nie chciałem za twoję żonę, gdy mi ją ofiarowano sprzedać — odeprze przewodnik.

— Łżesz psie, gdybyś był wielbłądem, to za te pieniądze, które za żonę zapłaciłem, kupiłbym ciebie z całą twoją rodziną.

I tak dalej coraz bardziej *crescendo* zacietrzewiali się na słowach przeciwnicy. Tymczasem reszta stanąwszy dokoła, przysłuchiwała się tyraljerce z widocznem zajęciem, od czasu do czasu wykrzykując u! pa, pa! gdy jeden z przeciwników słono drugiemu dogodził. A na skali wzajemnego wymyślania się, im słowna walka dłużej trwała, tem coraz więcej wypadało dodawać soli, bo od jej ilości zależała siła impertynencji. Zdaniem etnografów każdy naród ma pod tym względem inaczej smak wyrobiony. Podczas gdy dla jednego potrzeba zaledwie paru atomów soli, aby od słów przejść do czynu, to dla drugiego tymczasem, cały jej korzec nie daje jeszcze impulsu do akcji. Kirgizi podobnie jak nasi żydzi, stoją pod tym względem najwyżej i potrzebują całej kopalni. Burnabyego ta górnicza praca poczynała już nudzić, zwłaszcza, że nie widział jej końca, dna kopalni. Ale ciekawość powstrzymała go od interwencji, chciał bowiem przekonać się jak Kirgizi, pozostawieni sami sobie, skończą tę oryginalną walkę. Postanowił więc czekać końca, tem chętniej, że przewidywał, iż musi on wkrótce już nadejść. Albowiem przeciwnicy wyczerpali już wszystkie temata, zużytkowali całą faunę i florę swych okolic, zeszkalowali do ostatniej nitki wszystkich swoich krewnych, wyrzucili na siebie całe góry soli, cóż pozostawało im jeszcze do szkalowania? Chyba nawzajem swój towar — swe córki. A otóż i one na placu.

— Twoje są do ogórków podobne.

— A u twoich oczy jak kirasolskie jezioro.

— Mówiono mi, że po baranie je sprzedajesz, tylko że ci za nie i jelit baranich nikt nie daje.

Tego było już za wiele przewodnikowi. Giełdziarz wiedeński z żydowskiego rodu byłby oczy wydrapał temu, ktoby odważył się lekceważąco odezwać się o akcjach leżących w jego portfelu. Cóż dziwnego, że przewodnik wziął tak dalece do serca deprecjację swego towaru, iż machnął szpicrutą przez twarz Kirgizowi. U! pa, pa! krzyknęli widzowie, gdyż walka od słów miała przejść do czynów. I rzeczywiście Kirgiz zerwał się z siodła i jednym susem zeskoczył na ziemię. Przewodnik w mgnieniu oka uczynił to samo. Stanęli więc naprzeciw siebie, stanęli i chwilę niemo patrzali na siebie, poczem plunęli sobie nawzajem w twarz. Oba strzały były celne, wprost wymierzone w oczy. Zerwały się więc namiętności jak dwa uragany i uderzyły w siebie. A zgadniesz czytelniku co się stało? Kirgizi rzucili się na siebie i spletli się w uścisku śmiertelnym... dla ich *chałatów* długich, po kostki się-

gających. Po chwili odskoczyli od siebie, każdy z połą chałata swego przeciwnika.

— Masz tobie! — krzyknął jeden, machając jakby sztandarem połą chałatowej spodnicy.

— Masz także! — krzyknął drugi, rzucając pod stopy połę swego przeciwnika.

I rzucili się znowu na siebie i znowu odskoczyli z częścią ubrania w ręku. Operacja ta powtarzała się kilka razy z rzędu, nakoniec przewodnik utarł nos palcami na znak pogardy jaką żywi dla swego przeciwnika i skrzyżowawszy nogi, usiadł na ziemi. To samo, prawie bez odmiany i prawie równocześnie, zrobił Kirgiz. Było to sygnałem do pokojowej interwencji dla „uczciwych, faktorów“ przypatrujących się widowisku. *Aman!* — krzyknęli wszyscy. *Aman* — rzekł Burnaby, wjeżdżając w środek areny. *Aman* — odpowiedzieli zapaśnicy. *Salam Aalejkom Asalam*, oświadczył Kirgiz. *Aalejkom Asalam*—odpowiedział mu przewodnik. I obaj siedli na koń.

— Nieprawdaż, że dzielnie się bili? Djablo odważnie — rzecze Nazar do Burnabyego, podczas gdy Kirgizi komunikowali sobie nawzajem wiadomości z Kazali i Kalenderhany.

— O! niezaprzeczenie odważnie — odparł Burnaby, a w myśli sobie dodał: — teraz rozumiem dla czego to Moskale z pięciotysięcznym oddziałem wojska mogli zdobyć takie stotysięczne miasto jak Taszkient. Teraz mi jest jasną cała epopea wojen moskiewskich w środkowej Azji. Cóż dziwnego, że mając do czynienia z takimi ludami, zdobywali oni w każdej wyprawie kraje większe niż Francja, podbijali całe ordy, nawet całe plemiona, w perzynę obracali stołeczne miasta i przybierali pozy niezwalczonych bohaterów. Ze zwycięstw nad takimi ludami spleciony laurowy wieniec ostać się jednak nie zdoła przed jednym bataljonem pikielhauberów Moltkego. Więcej jest tedy blichtru w całej tej potędze moskiewskiej niż realnej siły. I tak się rzeczywiście stało, dowodem czego Plewna.

(C. d. n.)

TYPY GALTONA.

Gdyby cię czytelniku zapytano: azali *typ* jest rzeczą realną? odpowiedziałbyś niewątpliwie: nie. I byłbyś głęboko przekonany, że mówisz prawdę, tak głęboko, że skorobyś przeczytał na ostatniej stronicy dzienników, w rubryce anonsów, iż któryś z handlarzy wystawia na sprzedaż fotografje typów dajmy na to: dewotek, królobójców, podpalaczy, biurokratów, pokątnych pisarzy etc., mniemałbyś, że albo ten handlarz czyha na twoją kieszeń na równi z fabrykantami pomady cudownej, albo też fotografje owe są zdejmowane z obrazów któregoś z rodzajowych malarzy niemieckich. Wziąłbyś zaś owego handlarza za prostego już szalbierza, gdyby zalecając swe fotografje typów, dodał, iż są zdejmowane z natury.

A to świat się kończy! — rzekłbyś oburzony — *fotografje typów zdjęte z natury!* Jakto, więc typ poszedł do fotografa, zapłacił 6 złr. i kazał odbić tuzin swych fotografji? A ztamtąd może jeszcze udał się na śniadanie do Małeckiego? Dla czegożby nie? Jeżeli fotografję może zdejmować to i śniadanie musi jadać. Nie dodałbyś potęgując swe oburzenie, to przechodzi wszelkie pojęcia do czego blaga i humbug dojść mogą. Tyle lat prawiono o *charakterach*, tyle inkaustu i papieru spisano, aby wykazać, że *charakter* jest rzeczą realną a *typ* mrzonką, a dzisiaj ofiarowują nam na sprzedaż fotografje realnych typów. A doprawdy tego już za wiele i gotów jestem...

Przepraszam cię czytelniku, że ci przerwę twe pobożne oburzenie. Zanim wypowiesz swą groźbę, zechciej mnie chwilę posłuchać. Obawiam się bowiem, żebyś przy pierwszych lepszych wyborach nie postawił kandydatowi za warunek, aby nie wierzył w fotografje typów. A postawiłbyś go w niemiłą kolizję, bo nie wierzyć w nie nie może z tej prostej racji, że... i ty w nie zaraz uwierzysz.

Przedewszystkiem jednak upraszam cię, nastrój się odpowiednio do sytuacji, to jest przeniknij się tą myślą, że żyjesz w czasach, w których według spostrzeżenia ś. p. Quineta to co było mrzonką i utopją przed chwilą, staje się w chwilę potem najoczywistszą prawdą. I ja tak jak ty, zacny czytelniku, nie wierzyłem w te bezustanne odkrycia i wynalazki, które jak z rękawa sypie nasz wiek XIX. Brałem je wszystkie za humbug. Przypominam sobie, że przed kilku laty czytałem na rogach ulic olbrzymie afisze, zapraszające do przedpłaty na jakąś *Bibljotekę Przyrodniczą*. Na tych afiszach narysowane były dwa jakieś instrumenta, a pod niemi takie dwa podpisy: — *Przyrząd do mierzenia temperatury słońca*; — *Przyrząd do mierzenia chyżości myśli*. Masz tobie — pomyślałem sobie — oczywisty humbug, a chociaż korciło mnie przekonać się, czy też rzeczywiście tak pomału myślę, jak to utrzymuje zawsze szanowna moja małżonka, jednakże zasada wzięła górę nad grzeszną ciekawością i tak samo jak ty czytelniku nie zaprenumerowałem owej Bibljoteki.

W parę lat potem rozchodzi się wieść o jakichś telefonach i fonografach. Dzienniki poczęły niestworzone o tych instrumentach pisać rzeczy, że one w blaszkach z cynfolji głos ludzki konserwują, że zachowują jego barwę, dźwięczność, siłę i intonację, że mogą spiewać arje, chóry, naśladować całą orkiestrę, słowem niewiedzieć co. Naturalnie w takie bajki przecież wierzyć nie mogłem. Aliści tego roku, będąc na wystawie, kiedy sobie w najlepsze przechadzam się po bulwarach Włoskich, przyglądając się wystawom sklepowym, wtem żona ciągnie mnie za rękaw i wskazuje olbrzymi afisz: *Ici parle le phonographe.* „Chodź, chodź, zobaczymy jak to wygląda“ — rzecze do mnie moja magnifika. A ponieważ trzymam się zasady, że w obec żądań żony ustępują w kąd wszystkie zasady, więc chociaż z zasady byłem przeciwny wydawaniu pieniędzy na humbugi, płacę jednak za bilety i wchodzę. I cóż powiesz czytelniku? Zostałem skofundowany. Fonograf gadał, spiewał, krzyczał, szcze ał, naśladował głos ludzki i zwierzęcy, imitował do złudzenia dźwięki instrumentów muzycznych, wyspiewywał całe arje, a kiedym zagadał do niego po polsku, to mi tak powtórzył słowa moje wyraźnie, z tak czystym akcentem, jak gdyby się był urodził na bruku lwowskim.

Odtąd powiedziałem sobie: — trzeba mieć inną zasadę, nie należy z góry i bezwzględnie nie wierzyć w te nowe wynalazki, ale wprzódy lepiej jest przekonać się; nie chciałbym bowiem drugi raz spuszczać tak nosa na kwintę, jak wtedy po wyjściu z owej sali Edisona, chociaż żona była delikatną i nie dała mi uczuć, że za moje dawniejsze apostrofy przeciw fonografom podejrzywa mój światły rozum, słynny przecie na cały powiat. Przejąwszy się tą zasadą, kiedym wyczytał w czasopismach o tem, że Galton, uczony, poważny i znakomity, a także członek londyńskie akademji nauk, zdejmuje fotografje typów, więc jakkolwiek równie jak ty czytelniku nie mogłem sobie w głowie pomieścić, jak mogą typy być tak dalece czemś realnem, żeby z nich aż fotografje zdejmować, powiedziałem sobie jednak: sza! bratku, z humbugiem nie wyrywaj się jak Filip z konopi, pierwej zbadaj rzecz poważnie i sumiennie, a może się okaże, że to, co bierzesz za nonsens, jest przecie rzeczą prostą.

Tak się też i stało. A oto w jaki sposób.

Typ jako odrębny organizm, jako oddzielne indywiduum nie istnieje w naturze, to fakt. Wprawdzie mówimy: typowy zbrodniarz, typowa dewotka, typowy Murzyn, etc. ale przez to wypowiadamy tylko tę myśl, iż zdaniem naszem w danym zbrodniarzu, Murzynie lub dewotce istnieje oprócz mnóstwa własnych indywidualnych znamion, także mnóstwo tych znamion i cech charakterystycznych, jakie my sprzęgamy w umyśle naszym z *wyobrażeniem* zbrodniarza, Murzyna lub dewotki. Właśnie to wyobrażenie, które mamy w umyśle, jest właściwie *typem*, czyli innemi słowy: typ nie istnieje w naturze, ale istnieje w naszym umyśle, jest na wskróś i jedynie produktem psychologicznym.

Azaliż jednak ten produkt psychologiczny powstał tak sobie z niczego? Oczewiście nie. Wyrobił się na mocy doświadczenia, ułożył się w umyśle w skutek długiego szeregu spostrzeżeń. Widzimy Murzyna, przypuśćmy po raz pierwszy w życiu. Uderza nas jego czarna skóra, obwisłe wargi, kędzierzawe włosy, wystające kości licowe i tysiące innych znamion, zarówno te, które są jego indywidualną własnością, jak i te które nietylko do niego należą, ale do całej jego murzyńskiej braci. Jednakże w chwili, kiedy pierwszy raz widzimy Murzyna, nie jesteśmy jeszcze w stanie zdać sobie sprawy, które znamiona są jego własne, a które do typu, do rasy należą. Dla nas po ten czas jednakową mają wartość wszystkie jego znamiona, wszystkie jednakowo są typowe, i gdyby w owej chwili trzeba nam było wyobrazić sobie typ Murzyna, tobyśmy go właśnie tak wyobrazili, jak widziany przez nas Murzyn wyglądał. Ale przypuśćmy, że po pewnym czasie widzimy znowu drugiego Murzyna. W umyśle naszym wrażenie pierwszego przez ten czas już się było nieco zatarło, osłabło, jak w ogóle wszelkie wrażenie, które odświeżanem nie jest. Obraz pierwszego murzyna, przechowywany w pamięci, wyblakował, barwy straciły żywość i wyrazistość, całość pokryła się jakby mgłą, którą z trudem wyobraźnia nasza rozproszyć mogła. Wtem widzimy drugiego murzyna, który także posiada typowe znamiona, zupełnie podobne do tych znamion, jakie posiadał pierwszy Murzyn, a oprócz tego posiada rozmaite swoje własne, indywidualne znamiona, całkiem różne od indywidualnych znamion pierwszego Murzyna. Cóż się tedy dzieje w umyśle naszym? Na obraz pierwszego Murzyna nakłada się obraz drugiego Murzyna, typowe znamiona nakładają się na typowych znamionach, a indywidualne na indywidualnych. Ponieważ zaś pierwsze są identyczne, przeto wzmacniają się nawzajem, ponieważ zaś drugie są różne, przeto nawzajem się zacierają. I podczas gdy po widzeniu pierwszego Murzyna nie byliśmy w stanie przeprowadzić w umyśle klasyfikacji jego znamion, nie mogliśmy odróżnić typowych od indywidualnych i wszystkie społem braliśmy za typowe; natomiast tym razem, po widzeniu drugiego Murzyna, możemy już do pe-

wnego stopnia klasyfikacją tę przeprowadzić. Wszelako będzie ona jeszcze zanadto niedokładną, bo w obrazie Murzyna, jaki będziemy mieli w umyśle, odgrywać jeszcze będą za nadto wielką rolę indywidualne znamiona obu widzianych przez nas Murzynów. Typ Murzyna, który wyrobimy w sobie na podstawie tego szczupłego doświadczenia, będzie właściwie tylko wypadkową z dwóch otrzymanych obrazów i przeto nosić na sobie będzie piętno tych obrazów. Ale w miarę im coraz więcej widzieć będziemy Murzynów, tem coraz bardziej typ nasz doskonalić się będzie. Za każdym bowiem razem typowe znamiona, jako zawsze identyczne, nakładając się na znamionach typowych, wzmacniać będą ich wyrazistość i natomiast znamiona indywidualne, jako za każdym razem inne, coraz bardziej będą się gmatwały, zacierały zatuszowywały. I tak w końcu, mając szerokie pole doświadczeń, wyrobimy sobie typ jasny, o wyrazistych konturach, o żywym kolorycie, pełen *reliefu* i ekspresji, a nadewszystko pełen prawdy, bo wolny od cech indywidualnych i jako takich — podrzędnych, a złożony jedynie ze znamion typowych.

Widzieliśmy tedy, że typ jako całość odrębna, jako indywiduum, w przyrodzie nie istnieje, bo jest rozsiany na tysiącach, na miljonach jednostek, z których żadna typem nie jest, bo oprócz cech typowych, posiada nadto swe własne indywidualne znamiona. Widzieliśmy nadto w jaki sposób typ powstaje w umyśle naszym, jak przez nakładanie się identycznych a więc typowych znamion, dostrzeganych u rozmaitych jednostek jednej kategorji, wrażenie tych znamion wdraża się coraz silniej w wyobraźnię naszą, podczas gdy znamiona różne, a więc indywidualne, zacierają się nawzajem i nawzajem się tłumiąc, nie mogą się w wyobraźni utrwalić. Widzieliśmy wreszcie, że typ tembardziej jest jasnym i nadewszystko czystym od indywidualnych domieszek, tembardziej wolnym od znamion *szczególnych*, dostrzeganych na jednostkach, imbardziej rozszerzymy zakres naszych spostrzeżeń, im na szerszem kole indywiduów budujemy jego postać.

Zachodzi teraz pytanie, jakże ten typ, który jest tylko subjektywnym naszym wyrobem, istnieje tylko w naszym umyśle, a po za nim nie stanowi nigdzie odrębnej całości; jakże go tedy objektywnie przedstawić, jak zdjąć z niego przedmiotowy obraz równie dokładny jak nasza podmiotowa koncepcja?

Dotąd dla spełnienia tego zadania mieliśmy metodę. Była to tak zwana *artystyczna twórczość*. Za pomocą niej artysta-malarz przenosił na płótno ten obraz typu, który miał w umyśle, przedmiotowo uplastyczniał podmiotowe swe wyobrażenie. Jeżeli miał umysł wrażliwy i na szerokiem kole jednostek robił swe obserwacje, natenczas stworzony przez niego typ miał wszystkie warunki dokładności, zbliżał się niepospolicie do idealnego typu, do prawdy. W przeciwnym razie znamiona indywidualne taką w jego typie odgrywały wybitną rolę na niekorzyść znamion typowych, iż obraz albo się stawał portretem jednostki, albo też był wypadkową ze zbyt szczupłego zakresu obserwacji, albo wreszcie służył świadectwem, że artysta bądź umysł ma mało wrażliwy, bądź oddać nie umie tego co sam odczuwa. Ale w najlepszym razie, przy największem możebnem zbliżeniu się typu, stworzonego na drodze artystycznej koncepcji, do tego co jest prawdą czyli typem idealnym, — umiejętność z tych artystycznych typów niewielką odnosiła korzyść. Nosiły one bowiem zawsze na sobie piętno swego twórcy. Jeżeli wolne były od indywidualnych znamion jednostek pociąganych do obserwacji, jeżeli *model* z nich nie przebijał, to natomiast nie były one wolne od subjektywnych przymiotów artysty-malarza, zdradzały jego charakter, jego obserwowania, jego tendencję lub nacisk, jaki on kładł na to lub owo fizyczne czy też psychiczne znamię typu. Miały one tedy dla sztuki wartość, dla umiejętności zaś nieskończenie podrzędną, bo umiejętność potrzebuje takiego obrazowania typów, któreby z całą matematyczną albo lepiej fotograficzną dokładnością pozbierało wszystkie znamiona typowe rozsiane na tysiącach jednostek i z nich splotło jednę organiczną całość.

Właśnie tego zadania podjął się Galton i rozwiązał je, jak próby okazały, bardzo pomyślnie. Dla dopięcia zamierzonego celu postanowił on mechanicznie naśladować ten proces psychiczny, który opisaliśmy powyżej, a na mózgu którego powstaje w umyśle naszym wyobrażenie typu.

Metoda jego jest bardzo prosta, tak prosta, że jak to się dzieje we wszystkich wynalazkach i odkryciach, po poznaniu jej, przychodzi mimowoli na myśl pytanie: dla czego też ludzie na nią dotąd nie wpadli? Przypuśmy, że Galton potrzebuje otrzymać fotografję typu żyda. Bierze tedy kilkadziesiąt fotografji żydów, bacząc przytem aby wszystkie były tej samej skali, wszystkie w profilu, lub wszystkie *en face*, lub wszystkie *trois-quart*, ustawia je jedna za drugą, jak np. są karty ułożone w talji i zaczyna zdejmować z nich na jednem szkle fotografję. Więc naprzód zdejmuje fotografję z pierwszego portretu przez jakie 10 sekund; na jego szkle fotograficznem odbijają się wszystkie znamiona pierwszego żyda, tak typowe jak i indywidualne, i naturalnie odbijają się wszystkie z jednakową siłą, wyrazistością. Potem odrzuca szybko (do tego jest osobny mechanizm) pierwszy portret i przez następne 10 sekund zdejmuje fotografję z drugiego żyda. Znamiona drugiego żyda nakładają się na szkle fotograficznem na znamionach pierwszego, ale ponieważ typowe znamiona są u obu identyczne przeto wzmacniają się nawzajem; natomiast indywidualne, jako różne u obu, nawzajem się zacierają. Dalej odbywa się ta sama operacja z trzecim, czwartym itd. portretem. Z każdego bierze się odbicie przez kilka lub kilkanaście sekund i nakoniec po kilku minutach, po odfotografowaniu wszystkich kilkudziesięciu fotografji, ma się na szkle fotograficznem obraz typowego żyda, który nie jest identycznym z żadnym z odfotografowanych żydów, do wszystkich jednak jest podobnym, bo ma wszystkie typowe ich znamiona, a żadnego indywidualnego.

Podaliśmy tu tylko w streszczeniu i z pominięciem szczegółów metodę używaną przez Galtona. Ciekawi szczegółów, mogą je poznać w jego własnej rozprawie zamieszczonej w ostatnim roczniku londyńskiej *Royal Society*. Tutaj zaś nadmienimy jeszcze dla dokompletowania opisu, iż przy owem odfotografowywaniu portretów ważną rolę odgrywa wzgląd, aby pewne główne punkta twarzy, jak np. oczy i linja grzbietowa nosa, wypadały w tem samem miejscu. Owoż przyrząd mechaniczny w którym Galton układa fotografje jak talję kart, jest tak urządzony, że na wszystkich portretach oczy są na jednakowej wysokości i na szkle fotograficznem odbijają się w jednym punkcie.

Wynalazek Galtona niepospolite przyniesie korzyści dla umiejętności, dla sztuki i nawet dla przemysłu. Nauka otrzyma dokładne, z matematyczną ścisłością wykonane typy rozmaitych szczepów i plemion ludzkich. Etnografja będzie teraz posiadała w ręku znakomity środek analityczny do rozkładania ludów na składowe ich etnograficzne elementa. Dla przykładu przypuśćmy, że etnograf zechce zbadać z jakich etnograficznych elementów składają się Moskale. Zdejmie tedy naprzód fotografję typu Moskala, a mając pod ręką typy Hunów, Mongołów, Chazarów i Słowian, porówna je z moskiewskim typem i wyprowadzi z tą samą ścisłością z jakich pierwiastków etnograficznych składa się typ Moskala, z jaką wyprowadza chemik naturę pierwiastków wchodzących w skład ciał złożonych. Zoologja otrzyma typy rozmaitych ras zewnętrznych, a morfologja ogólna typowe linje rozmaitych organicznych kształtów i obie z tych typów odniosą nie mniejszą od etnografji korzyść.

Dla sztuki wynalazek Galtona mniejszą przyniesie korzyść, zawsze przecie dość ważną. Zwłaszcza rodzajowe malarstwo potrafi z niego użytek dla siebie wydobyć. Będzie on tem dla niego, czem np. geometrja jest dla nauki o perspektywie. Artysta nie będzie nigdy obowiązany w całości przenosić typy na swoje płótna i obrazy swe fotografowanemi typami zaludniać, ale obowiązkiem będzie jego rozwijać swą fantazję na umiejętnem tle prawdziwych typów, w zakresie linji wykrytych na mocy Galtonowskiego wynalazku. Kozacy Brandta, żydzi Knausa, kapucyni Grütznera niewiele może będą rektyfikacji potrzebowali; ale ileż za to oszczędzą sobie trudu drugorzędni i trzeciorzędni rodzajowi malarze, zmuszeni dzisiaj mózg swój wysuszać, a jeszcze bardziej fantazję nad tem, aby dobrze w typ *trafić*, — i do tego nie zawsze z powodzeniem.

Najbezpośredniej zaś z wynalazku Galtona odniesie korzyść przemysł fotograficzny. Jakże to często słyszy się narzekania, zwłaszcza pań, że fotografja nie oddaje dobrze ich wyrazu, że fotograf nie umie *trafić*, że fotografja nie jest podobną etc. I narzekania te są uzasadnione, jakkolwiek fotograf wcale temu nie winien. Na szkle jego odbity został z całą fotograficzną dokładnością obraz zdejmującej się osoby i jest on niewątpliwie zupełnie do niej podobny, ale do niej takiej, jaką ona była w chwili, gdy siedziała przed przyrządem fotografa. Nie jest zaś winą ani szkła, ani fotografa, ani promieni słonecznych, że w owej chwili osoba ta, bądź z powodu natężenia wynikającego z potrzeby zachowywania się nieruchomo, bądź z jakich innych powodów nie była podobną do samej siebie, miała wyraz twarzy nieco odmienny od wyrazu, który zwykle okrasza jej oblicze. Owoż ten zwykły wyraz naszej twarzy, ten codzienny (a nie ów sztywny świąteczny jaki najczęściej bywa na fotografjach) uważać możemy jako wyraz typowy naszego oblicza i przeto możemy dochodzić do niego na mocy którego dochodziliśmy powyżej do typu ras lub plemion. W tym celu doradza Galton wziąć kilka lub kilkanaście fotografji zdjętych w tych samych pozach i z nich dopiero w opisany powyżej sposób zdjąć fotografję typową. Albo też w przeciągu kilku dni w rozmaitych porach dnia — bo to jest bardzo ważne — zdejmować swą fotografję i dopiero z tych kilku egzemplarzy utworzyć jeden wypadkowy na mocy złożonego fotografowania. W ten sposób otrzymuje się jeszcze jedną korzyść, którą zwłaszcza panie nader przychylnie przyjmą. Taka złożona fotografja nietylko będzie zawsze piękniejszą od jednorazowych, ale nadto będzie nieco piękniejszą od fotografującej się osoby, albowiem na niej najlepiej wyjdą linje typowe, najwyraźniej, bo

będą identyczne na wszystkich egzemplarzach. Owoż linje typowe są zawsze regularniejsze i czystsze od wszelkich przypadkowych linji, powstających pod wpływem chwilowego usposobienia i tworzących chwilowy wyraz twarzy. Galton robił próby i przekonał się, że takie fotografje złożone, nietylko były zawsze nieskończenie podobne, ale nadto osoby fotografowane wychodziły na nich zawsze korzystniej.

Wracam do pytania, który Ci czytelniku na początku zadałem: Istnieją typy w naturze jako całość odrębna, jako oddzielny organizm? Nie — A mogą istnieć fotografje typów z natury zdejmowane? Widzisz, że mogą. Do nie uwierzenia, a jednak prawdziwe.

L. Masłowski.

Z Wiktora Hugo.

(Z najnowszego poematu „La pitié suprème".)

I.

Otchłań była bezdenna, grobowa, złowroga;
Szmer dziki, przenikliwy, posępny jak trwoga,
Płynął, gdzie nieskończoność tajemnicą włada.
Ten szmer, był jak krzyk, który ponura i blada,
Olbrzymia dusza rzuca z rozdartego łona,
Gdy walczy wśród przepaści i leci szalona.
Potem się wszystko zgiełku stawało wyrazem;
Noc grzmiała i groziła i płakała razem,
Tak, jak gdyby widnokrąg czarnych sfer powiewem
Owinięty w cień zapadł i oddychał gniewem.
Zgiełk straszny! Gdzie zmięszane słyszeć się dawały
Ryki wściekłego morza bijącego skały,
I głosy forum, które szemrze i rozprawia.
— Hańba! piekło! nieszczęście! Tyberjusz! bezprawia!
Tyberjusz! Prokust! Achab! Klotarjusz! szkarada!
Sennacherib, Kambyzes! przekleństwo! śmierć! biada!
A zgłoski składające te hańby imiona]
Były każda z tysiąca okrzyków złożona.
Słyszałem; — Saul! Omar! Iwan! Kaligula!
I z wszystkiego, co żywi cała ziemska kula,'
Z chat, pałaców, ogrodów, lasów, murów, dzwonów,
Z krzyżów, zwalisk i świątyń, z ust, z piersi miljonów,
Ze szczęk trupów wychudłych, zgrzytających śmiechem,
Z kanałów buchających zatrutym oddechem
Imiona te leciały jak ptaki ciemności.
Skielety, dość by tylko ruszyły swe kości,
Złowrogie z nich imiona tryskały w przestrzenie.
A blade larwy królów i ministrów cienie,
Richelieu, Ludwik, Rufin, Arkadjusz wyrodny,
Uciekały. I słychać było głos: — Jam głodny!
Zimno mi! Kiedyż zejdzie dzień — ustąpi zamęt!

To był historji wielki i tragiczny lament,
To był lud wiekuisty, rozpaczą szarpany,
Straszny! przeklinający odwieczne tyrany.

* * *

O przekleństwo! z jakiego ty wychodzisz łona?
Usta co cię miotają — to rana jątrzona,
To ściek, w który krew spływa, to przedśmiertne drgania,
To są znaki topora na pniu rusztowania,
To groby i mogiły, wpół przymknięte doły,
Zkąd oddechy kołyszą drzemiącemi zioły,
Przekleństwo! zkąd ty jesteś? Czarna noc cię rodzi.

Ostatni promień światła przed tobą uchodzi;
Ty idziesz w ślad za zbrodnią i ścielesz szeroko
Inną na światy ciemność, lecz niemniej głęboką;
A oręż, którym zwalczasz żałoby złowieszcze,
Upadłą myśl człowieka, spycha niżej jeszcze.

I nic nie kwitnie; życie zamiera podcięte
I nie ma pocieszenia w twojej grozie świętej.
Ty pragniesz świat oświecać tylko błyskawicą,
Ciebie kaźnie, galery, potępienie sycą.
Widziadło! i ty wciągasz do twojego koła
Promienne myśliciели i poetów czoła
I wszystko, co nam spływa z góry, tam od Boga.
Zamknięta dla błękitów twoja otchłań sroga,
Posępny płomień tylko wpuszcza do swej toni.
Gwiazda by zadymiła pochodnią w twej dłoni.
Ty, gdybyś mogło z głębi twej nory grobowej
Dostać promieniejący pierścień Saturnowy,
Przekuło byś go w ciężkie ogniwo łańcucha.
Przekleństwo! z twojej piersi nienawiść wybucha,
Nie ramiona wyciągasz — pięście obełżywe.

I stanąłem marzący. — Jestżeś sprawiedliwe?

Przekleństwo mi odrzekło: — Posłuchaj:

— Ja cierpię.
Ja sądzę. Dziki wulkan to co z głębi czerpie
Wypluwa — siarkę, ogień — a człowiek swe bole,'
Jestem tem, co nieszczęście osadza na dole;
Jestem strapieniem, smutkiem, co się najprzód skarży,
Gniewa, rośnie, nareszcie w płomień się rozrzaży.
Dlaczego mnie znieważasz? Ja płaczę. Czyż rana
Nie ma prawa się żalić, gdy jest uciskana?
Skarżyć więzy i kleszcze? Mylisz się. Bóg z tobą!
To ja jestem zwątpieniem, grozą i żałobą!
Ja jestem epopeą co wyrok grobowy
Olbrzymiem piętnem rzuca na zbrodnicze głowy,
Gwiazdą co się przekształca w płomieniste miecze.
Co do sprawiedliwości — robaku! człowiecze!
Nazywam się Izajasz! Dante moje miano!

Jakież się na te dźwięki nie zegnie kolano?
Ten głos, to głos sumienia; a jednak, tam, w głębi,
Na dnie serca i duszy niepokój się kłębi
I płynie gdzieś z przestrzeni, z pod niebios sklepienia,
Jakby ciężkie westchnienie innego sumienia;
I myśliciel się waha, gdy wybrać potrzeba
Pomiędzy krzykiem ziemi a westchnieniem nieba.
Och! te olbrzymy! Dante! Izajasz! proroсy!
Hańbiące piętno dziejów spoczywa w ich mocy;
Ich prawem: ścigać, karać, przykuwać do pali,
Oni sprawiedliwością ukutą ze stali;
I każda się potęga rozsypie w popioły
Gdy te ziemskie nastąpią na nią archanioły.
Oni karcicielami; gdy drżący i blady
Niegdyś wszechmocny zbrodniarz czując, że krwi ślady
Nie spełzły jeszcze z niego, krokami chwiejnemi
Przekracza wrota śmierci — znajdzie ich za niemi.
Każdej dzisiejszej zbrodni — jutrem władną — oni.
Olbrzymia szala prawdy waży się w ich dłoni,
A losy moc ich smutną na swe szczyty garną.
Oni sędziami cieniów, równowagą czarną.
Lecz, otchłanie! pozwólcie mnie, gdziekolwiek droga,
Rzutem skrzydeł nadludzkim wznieść się bliżej Boga,
Szukać sprawiedliwości w pośród gwiazd promiennych.

M. Rodoć.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Drugie śniadanie, potem czas zwykłej drzemki Charley'a. Biedny Edwardek pozbawiony towarzysza nie mógł się nawet bawić z małą dziewczynką doktorstwa, która była niezdrowa. Chodził za mną spokojnie, ale z taką żałosną twarzyczką, że już byłem gotów wziąć go na naszą przejażdżkę. Gdyby był się skarżył albo dąsał, byłbym się czuł swobodniejszym, ale nic więcej bogów i ludzi nie wzrusza nad nieme poddanie się losowi. Nareszcie ku wielkiej mojej uldze otworzył usta:

— Wujciu Harry, czy w niebie można za kim tęsknić?

— Sądzę, że nie, Edziu.

— Czy mamy i tatkowie małych chłopczyków aniołków, jeżdżą na wizyty i tak długo nie wracają do domu.

— Nie wiem z pewnością, Edwardku; ale jeżeli tak jest, to mali aniołkowie mają dużo innych chłopczyków aniołków, z którymi mogą się bawić, i wcale im nie jest tęskno.

— Co mi tam przyjdzie z aniołków, gdy mi będzie tęskno za mamą i tatą. Ale teraz gdy się nie mam z kim bawić, to tak mi się chce zobaczyć mamę i tatę, że mi się zdaje, że zaraz umrę jak ich nie zobaczę.

Byłem zajęty goleniem się, ale coprędzej otarłem twarz z mydła, siadłem na krześle z biegunami, przyciągnąłem biedactwo na kolana, i zacząłem całować, pieścić, pocieszać i całkiem oddałem się nieprzykremu zadaniu rozerwania go. Zwolna, smutna twarzyczka zaczęła się ożywiać; usteczka rozchylały się uśmiechem w zarysy, jakich żaden mistrz przeszłości nie potrafił ułożyć ustek malowanych aniołków; oczy jego ze łzawych stały się błyszczące i jasne, nareszcie się odezwał: — „Wujciu Harry, co mi tam! już jestem szczęśliwy. A czy wolno, żeby Filip jeździł ze mną i kozłem około dziedzińca, przez cały czas co będziesz na spacerze, wujciu? A przywieź nam cukierków i zabawek, i fig i nowego dużego psa." Trochę rozczarowany, zsadziłem Edwardka z kolan. Póki się nudził, a ja byłem jego jedyną ucieczką, słowami trudnoby wyrazić jego dla mnie serdeczności, ale gdy tylko wskutek moich usiłowań poweselał, zaczynał się napierać nowych ustępstw. Zastanowiwszy się jednak, że nic rzadszego nad wdzięczność, nie mogłem go tak bardzo obwiniać i pospieszyłem na moje rendez vous, do którego bardzo mi już było pilno. Zajeżdżając przed schody domku p. Clarkson, wydało mi się, że miesiąc chyba upłynął, odkąd byłem po raz ostatni, bo zaledwie taki przeciąg czasu mógłby poniekąd usprawiedliwić czarowną zmianę, jaka za te dwa dni zaszła w Alicji. Dowcip, zręczność w rozmowie, panowanie nad sobą, są to zalety nadzwyczaj przydatne młodej pannie w życiu towarzyskiem, ale dodajcie do tego słodycz i rozpromienienie lica rozkwitające pod wpływem miłości i zaufania, a czar będzie nie do oparcia się mu, zwłaszcza dla mężczyzny, który je wywołał.

Mogę śmiało powiedzieć, że nikt jeszcze nie jechał dłuższemi i więcej ubocznemi drogami z Hillereste do Wodospadów, niż ja dnia tego wiozłem moją panią, ona zaś ni razu nie spytała, czy nie błądzimy. Raz tylko chmurka rozpostarła się na jej czole, i wnet dowiedziałem się co ją sprowadziło.

— Harry — rzekła błagalnie tuląc się mocniej do mnie — czy kochasz mnie o tyle, aby znieść jaką przykrość dla mej miłości?

Odpowiedzi mojej nie wyraziłem słowami, ale zadatek jej zdaje się został zrozumiany i przyjęty, bo mówiła dalej: Nie chciałabym odwołać nic z tego co zaszło, jestem najszczęśliwszą i najdumniejszą z kobiet na świecie. Ale w samej rzeczy postąpiliśmy trochę zbyt nagle, jak na tak

małą naszą znajomość. A mama jest ogromnie przeciwną rzeczom tego rodzaju, wiesz, jest trochę starej daty, dawnych przekonań.

— Wszystko było moją winą—odrzekłem.— Wytłumaczę się niezwłocznie i jak przystoi. Czas i niepokój, których nie strawiłem na oblęganiu szańców twego serca, użyję na pozyskanie sobie dobrej woli twej matki. Spojrzenie, jakie otrzymałem w odpowiedzi, na tę uwagę, byłoby bogatą nagrodą, choćby się kto podjął ułagodzić tyle świekier ile ich miał Brigham Young. Ale uśmiech jej znów przybladł gdy mówiła:

— Nie wiesz jednak jakie bierzesz zadanie. Mama ma jak najtkliwsze serce, ale jest bardzo surową pod względem tego co uchodzi, a co nie uchodzi. Za jej czasów konkury były bardzo długą, wymagającą rozwagi sprawą, sądzi więc, że i teraz tak samo dziać się powinno. Ja także tak myślę w zastosowaniu ogólnem, ale przypuszczam pewne wyjątki, podczas gdy mama żadnych nie uznaje. Lękam się czy się okaże wyrozumiałą, gdy się dowie o wszystkiem, a nie mogę znieść myśli ukrywania czegoś przed nią. Jestem jej jedynem dzieckiem; wiesz przecie.

—Nie, nie ukrywaj przed nią, chybabyś w tem miała jaki twój osobisty powód. Daj mi opowiedzieć jej wszystko; i przyjąć na siebie całą odpowiedzialność i wszelkie przykre następstwa, jeźliby miały być jakie, matka twoja ma zupełną słuszność w zasadzie, choć mogą być pewne rozkoszne wyjątki, jak ten jeden, o którym wiemy my dwoje.

— Tylko o ciebie się lękam — mówiła moja pieszczotka, kładąc mi główkę na ramieniu. Chciałabym ci oszczędzić przykrości. Gwałtowność jest wrodzoną rodzinie naszej, i lubi się wraz z dumą wylewać, gdy tylko jest dobra sposobność po temu; a ja znieść nie mogę myśli, żebyś ty miał ściągnąć na siebie taki wybuch.

— Stawiałem ja czoło całemu plutonowi skierowanych ku mnie karabinów dla pewnego rodzaju miłości, a mógłbym się ważyć niemal na więcej, dla tego uczucia, które mnie w tej chwili uszczęśliwia. Wolę znieść wszystko, niż myśl, żem oszukiwał kogokolwiek, zwłaszcza jeszcze matkę takiej córki. Przytem, ty jesteś jej największym skarbem, więc ma prawo wiedzieć o każdej, choćby rzeczy najdrobniejszej co ciebie dotyczy.

—Jesteś szlachetnym i delikatnym i dlatego... cokolwiek jeszcze chciała powiedzieć słowami, wiernie i wymownie przekazały drogie jej oczy.

Ale piękna Alicjo, nie wiedziałaś na jak tchórzliwem sercu spoczęła w chwilę później twoja twarzyczka. Nie pierwszy to raz w życiu drżałem i trwożyłem się przed wypełnieniem czegoś, co obowiązek odemnie wymagał, nie pierwszy to raz staczałem walkę cięższą niż na polu bitwy, i bardziej niebezpieczną. Wyszedłem z niej zwycięzko, jak mężczyzna z walk takich wychodzić powinien, jeżeli godzien jest życia; ale wpłynęła ona na uczynienie mnie bardzo statecznym w naszym powrocie do domu. Gdyśmy już wjeżdżali w ulicę, miałem uczucie jakbym zamiast powozić moją lubę rączą parą rumaków, siedział na jednym z nich z ostrogami i szablą, gotów do walki i zwycięstwa.

— Dozwól mi rozmówić się z matką natychmiast Alicjo, wszelkie zwłoki tchórzostwem.

Lekkie drżenie koło mnie, chwila milczenia, która mi się wiekiem wydała, choć konie ledwo czas miały sześć razy brząknąć podkową a wreszcie odpowiedź Alicji: „Dobrze, jeźli się zdarzy, że nikogo z gości nie będzie, powiem jej, że masz z nią parę słów do pomówienia.“ Potem nastąpiło wejrzenie pełne podziwu, uwielbienia serdecznego i niespokojnej troski a dwoje słodkich oczu napełniło się łzami.

— Juześmy prawie na miejscu, najdroższa — rzekłem z uspakajającym uściskiem.

— Tak i nie ty sam jeden będziesz bohaterem — odrzekła przybierając postawę prawdziwej Zenobii. Gdyśmy minęli kląb akacyj co nam dom dotąd zasłaniał, mimowoli zawołałem: Nieba!

Na werandzie stała Mrs Mayton; po obu jej bokach dwaj moi siostrzeńcy, z tak zamorusanemi twarzami i ubraniem, jak ich jeszcze nigdy nie widziałem. Zdaje mi się jednak, że w pierwszej chwili im przebaczyłem, bo obecność ich mogła mi udzielić zwłoki jakiej nie dozwalał obowiązek.

—Przyśliśmy tu, żebyś nas zawiózł do domu— wołał Charley, podczas gdy Mrs Mayton witała mnie z dziwną mięszaniną, grzeczności, ciekawości i niezadowolenia. Alicja wprowadziła nas do bawialni, szepnęła coś matce, i już chciała się wymknąć, kiedy Mrs. Mayton przywołała ją napowrót i wskazała jej krzesło. Ukradkiem zamieniliśmy z sobą spojrzenia.

— Alicja powiada mi, że życzysz sobie pan mówić ze mną, panie Burton. Ciekawam czy nie o tym samym przedmiocie, o którym miałam dzisiaj popołudniu szczegółowe ustne sprawozdanie od starszego Master Lawrance'a.

Alicja się zmięszała, pewny jestem, że i ja także, ale ratunek mógł leżeć tylko w natychmiastowem działaniu, więc wyjąkałem:

— Jeżeli masz pani na myśli zbyt śmiałe na pozór wdarcie się do koła rodziny pani.

— Tak, panie Burton — przerwała stara Lady. Porównując objaśnienia dane mi przez to dziecko z niewytłómaczoną zmianą, jaką od kilku dni w mojej córce spostrzegam, zdaje mi się, że doszłam prawdy. Gdyby winowajcą był ktokolwiek inny, czułabym się skłonną do surowości; ale my, matki córek jedynaczek, mamy dziwnie wykształcony zmysł rozpoznania zalet młodych ludzi, a więc...

Mrs. Mayton pochyliła głowę, a ja zerwałem się z krzesła, chwyciłem jej rękę i do ust podniosłem z uczuciem. Potem poczciwa staruszka, która piętnaście lat temu straciła jedynego syna, przyjęła mnie na jego miejsce w sposób tylko matkom właściwy, a Alicja z płaczem ściskała nas oboje.

Po kilku chwilach tego błogiego zjednoczenia troje szczęśliwych siedząc w małym saloniku pani Clarkson, starało się przybrać więcej etykietalne postawy na wypadek, gdyby kto z obcych wszedł do pokoju.

— Wszystko to dobrze, moje dzieci — odezwała się Mrs Mayton — między nami rzecz już skończona; ale musicie zachowywać się tak, aby te trochę nagłe zaręczyny nie zaraz stały się wiadomością ogółu.

— Spuść się w tem na mnie, mamo! — zawołała Alicja.

— I na mnie — dodałem.

— Nie wątpię, że macie oboje jak najlepsze zamiary i postanowienia, ale nie możecie być nadto ostrożni.—Tu głośny jakiś śmiech z za okna zagłuszył chwilowo słowa Mrs Mayton, ale wnet ciągnęła dalej:—Sługi, dzieci—przytem się uśmiechnęła, a ja spuściłem głowę — osoby, które was na spacerze spotkać mogą.

Znowu śmiech wybuchł z za kląbu bzów przed oknem.

— Z czego mogą się śmiać te dziewczęta?— zawołała Alicja i poskoczyła ku oknu, ku któremu Mrs. Mayton i ja zbliżyliśmy się także.

Półkolem na trawie siedziały niemal wszystkie panie, mieszkające u p. Clarkson, a o dwa kroki przed niemi stał Charley w tym wysokim stopniu podniesienia, do jakiego go zwykle doprowadzały pochwały.

— Powtórz raz jeszcze — rzekła jedna z pań. Charley przybrał minę głębokiej mądrości, gwałtownie zaczął poruszać rękami i z ciągłą giestykulacją deklamował co następuje:

Świetna jak róży purpura młoda,
Wielbiona poetów słowy;
Wdzięczna jak lilii biała uroda,
Skromna jak fiołek dąbrowy;
Czystsza nad rosy perły tęczowe
Lśniące w kielichach co ranka;
Słodsza nad wszystkie wonie kwiatowe,
Alicja, moja kochanka

Tchu mi w piersiach zabrakło.

— Któż cię tego nauczył, Charley'u? — spytała jedna z panienek.

— Nikt nie nauczył, ja sam nauczył.

— Kiedyż to było?

— Dziś rano. Wujcio Harry to sobie gadał, i gadał ciągle w ogrodzie na dole i tak ruszał rękami.

Panie zamieniły wejrzenia, czytelniczki moje zapewne odgadną z jakiem znaczeniem, was zaś czytelnicy, zaręczam że i mnie wcale nie trudno było domyśleć się takowego. Alicja spojrzała na mnie pytająco, i mówi mi teraz, żem się zaczerwienił jak winowajca złapany na gorącym uczynku. Biedna mis Mayton upadła na krzesło, wołając:

— Zapóźno! zapóźno!

Edwardek i Charley nieświadomi wielkich rzeczy jakie zdziałali, byli wzorem skromności, w czasie powrotu do domu; tak dalece nawet, że Edwardek próbował tłómaczyć się ze swego nagłego zjawienia się u Mr. Mayton w zabrudzonem ubraniu, mówiąc: że nie *mogli* znaleść Małgosi, i nie *mogli* już czekać dłużej dopóki nie zapewniłem go, że te usprawidliwienia były zbyteczne. Czułem się w tak doskonałym humorze, że wesołość moja stała się wkrótce zaraźliwą i przez cały wieczór we trzech, spiewaliśmy, opowiadaliśmy historyjki i bawiliśmy się w najśmieszniejsze gry, mało nawet zwracając uwagi na zastawioną wieczerzę.

— Wujciu Harry!—zawołał naraz Edwardek, —odkąd tu jesteś nie spiewaliśmy jeszcze „o armji Jaraona“, chcesz? to teraz zaspiewamy?

Przystałem chętnie, choć nie rozumiejąc przygotowań, jakie do tego zaczął robić Edwardek: wyciągnął krzesło na biegunach na środek pokoju i zawołał:

— Tak będzie wujciu Harry! ty siadaj, a ja i Charley na twoich kolanach. Teraz Charley'u obie ręce w górę! Już, już, zaczynamy wujciu!

Nie wiedząc jeszcze o co idzie, przespiewałem wiersz pierwszy tego chóralnego psalmu, tak znanego z „Jubille Singers“, bez żadnego w tem ze strony chłopców udziału, ale przy zwrotce powtarzającej się po każdej strofie (refrain) obaj naraz zaczęli wrzeszczeć jak mogli najgłośniej i takt każdej sylaby wybijali z całej siły czterma pięściami na moich piersiach. Nic dziwnego, że wkrótce zamilkłem, ale chłopcy widać inaczej się na to zapatrywali.

— Dlaczegoś przestał, wujciu Harry - spytał Edwardek.

— Bo mnie piersi bolą, mój chłopcze,—odpowiedziałem, wymawiam sobie nadal taką zabawę.

— To chyba masz bardzo słabe piersi; tacie tak zawsze robimy, a nic mu to nie szkodzi.

Biedny Tom! cóż dziwnego, że mu się już piersi zapadają.

— Takiś mazgaj, jak małe dziecko,—osądził duży Charley.

Zniewagę tę zniosłem spokojnie, tylko ośmieliłem się zrobić uwagę, że czasby już było iść spać. Zostawiłem malcom chwilę czasu na objawienie zwykłego w takim razie niezadowolenia, a potem wdrapałem się na schody niosąc na rękach Charleya a na karku Edwardka. Obietnica laski cukru owsianego, dlatego z nich któryby się prędzej rozebrał, sprawiła zamięszanie, poczem obydwaj dostali nagrodę.

Edwardek ugryzł duży kawałek cukru, zasunął go między policzek a zęby, złożył ręce na piersiach i mówił:

— Drogi Boziu! kochaj mamę i tatę, Charley'a i mnie, i tego żółwia co go wujcio znalazł, i jeszcze tę śliczną panię, z którą wujciu Harry jeździ na spacer i tę starą panię z siwymi włosami co płakała i powiedziała mi, że jestem dobrym chłopczykiem. Amen.

Charley z westchnieniem wyciągnął z buzi laskę cukru, którą ssał smacznie, przymknął oczka i bąknął:

— Drogi Boziu! kochaj Charley'a i daj żeby był dobrym chłopczykiem i kochaj te ładne „panienki, ktore mi kazały jeszcze raz to powtórzyć“—domyśli się zapewne każdy do czego się owe „to“ odnosiło.

Mrs Mayton tak mi później powtórzyła co zaszło między nią a Edwardkiem.

Siedziała ona w swoim własnym pokoju, który był po za salonikiem, na końcu domu i zajęta była czytaniem, gdy jej się przypadkiem zsunęły okulary; zakładając je, podniosła oczy i spostrzegła dopiero, że nie była sama. Mały, brudny, trochę obdarty, ale poczciwie wyglądający chłopczyna stał przed nią z rączkami założonemi z tyłu i wyrazem zapytania w oczkach.

— Czego tu chcesz chłopcze? zawołała zdziwiona,—czy nie wiesz, że to bardzo niegrzecznie wchodzić do czyjegoś pokoju bez zapukania.

— Szukam mojego wujcia, — odpowiedział Edwardek swoim najsłodszym głosem, — a tamte panie powiedziały mi, że ty wiesz kiedy on wróci!

— Zdaje mi się, że sobie żartowały z ciebie lub ze mnie odrzekła trochę surowiej — stara lady, nie znam żadnego twojego wujcia a teraz wynoś się i nie przeszkadzaj mi dłużej.

— One powiedziały, że twoja dziewczynka z nim pojechała na spacer, to musisz przecie wiedzieć kiedy wrócą?

— Nie mam żadnej dziewczynki... — i niezadowolenie siwej lady, na myśl, że z niej zażartowano omal nie wywołało żywszego uniesienia niż przystało jej godności.—„Idź sobie dziecko“.

— Ona już nie jest tak badzo małą dziewczynką—zauważył Edwardek, lękając się rozminąć z prawdą—„jest daleko większa niż ja, a ponieważ one mówiły, że ty jesteś jej mamą, więc to twoja dziewczynka, wszak prawda? A jaka ładna, aż strach!

— Chcesz może mówić o Miss Mayton? —zapytała.

— Ach tak! prawda, jakże mogłem zapomnieć, a jakaż ona śliczna!!

— Twój sąd jest bardzo słuszny — rzekła Mis Mayton z większem troszkę zajęciem, — ale zkąd ci też to do głowy przyszło? jesteś troszkę mniejszy niż jej zwykli wielbiciele.

— Wujcio Harry mi to powiedział, a on wie wszystko. — Czujność Mis Mayton obudziła się natychmiast; upuściła książkę i zawołała:

— Któż to jest ten wujcio Harry?

— Wujcio? jest to wujcio Harry i koniec; alboż go nie znasz? umie robić lepsze świstawki niż tata. I znalazł żółwia...

— A któż twój tata, chłopczyku, — przerwała stara lady.

— Kto mój tato? mnie się zdawało, że wszyscy to wiedzieć muszą.

— Jakże się nazywasz? spytała Mis Mayton.

— Jan Edward Lavrence, — odpowiedział malec z dumą. Pani Mayton zastanowiła się przez chwilę, potem spytała:

— Czy może Mr. Burton jest tym wujciem, którego szukasz?

— Nie znam żadnego Mr. Burton — odrzekł Edwardek trochę zmięszany. — Wójcio to mamin braciszek i mieszka u nas odkąd mama i tato pojechali z wizytą, i jeździ na spacer naszym powozem.

— Hm! — zauważyła Mis Mayton z takim przyciskiem, że Edwardek przestał mówić i czekał; ale ona zawołała.

— Nie chciałam ci przerywać, moje dziecko, mów no dalej.

— ...I bierze z sobą najśliczniejszą panię w świecie! Sam to powiedział nie raz — jak ją podważa!!

— Co ty mówisz?—wykrzyknęła stara lady.

— Podważa, mówię, to jest on tak mówi, bo u mnie, to podważać, znaczy to samo co kochać. I gdyby jej nie kochał, to pocóżby ją ściskał i całował?...

Mrs Mayton zabrakło tchu w piersiach — przez chwilę nie mogła przemówić, nareszcie rzekła:

— Zkąd wiesz że on... że on ją ściska i całuje?

— Bom to sam widział wtedy, kiedy sobie Charley skaleczył paluszek. A wujcio był potem taki kontent, taki kontent! że mi zaraz na drugi dzień darował kozła i wózek... jak chcesz, to ci go pokażę, gdy przyjdziesz do nas, i kupił mi jeszcze...—Edwardek nagle przestał mówić, bo Mrs Mayton podniosła chustkę do oczu. Po chwili uczuła dotknięcie drobnej rączki na kolanie i otarłszy łzy spostrzegła małą twarzyczkę pochyloną ku sobie z wyrazem głębokiego współczucia.

— Tak mi żal, że ci smutno, czy jesteś niespokojna, że twoja dziewczynka tak długo nie wraca?

— Tak — zawołała biedna Mrs Mayton stanowczo:

— Nie bój się, nic się jej nie stanie, wujcio Harry jest ogromnie troskliwy i uważny.

— Powinienby się wstydzić! — zawołała stara lady.

— To pewno się wstydzi—odrzekł Edwardek — bo on zawsze robi wszystko co powinien. Żebyś wiedziała jaki on dobry i troskliwy; kiedyś tu, gdy mi mój kozioł uciekł, wzięli Charla i mnie do powozu, to wujcio ciągle trzymał twoją dziewczynkę za pas, żeby nie wypadła, widzisz więc, że i dziś nic jej się nie stanie kiedy jest z wujciem“. Mrs Mayton gwałtownie tupnęła nogą. Wiem dobrze, żebyś go sama podważała, gdybyś wiedziała jak to było ślicznie — a jakie on umie śpiewać zabawne piosenki i opowiadać historje!...

— Głupstwo!—krzyknęła rozgniewana matka.

— Wcale nie głupstwo—ujmował się Edwardek — to bardzo nie ładnie mówić, że to głupstwo, kiedy on tylko rozpowiada o Józefie, Abrahamie, i jak Pan Jezus był małem dzieciątkiem, i o dzieciach Hebrejskich i o wszystkich ludziach, których Pan Bóg kochał. A wujcio, także bardzo wszystkich kocha...

— Oh, to prawda! — odezwala się z użaleniem Mrs Mayton.

— ...I bardzo lubi, gdy przy paciorku modlimy się za tę śliczną panię, którą on uważa.

— Zkądże to wiesz?— zapytała Mis Mayton.

— Bo nas zawsze za to całuje, jak tato, kiedy go czem ucieszymy.

Mrs Mayton zamyśliła się poważnie i głęboko, ale Edwardek nie zrzucił jeszcze wszystkiego z serduszka.

— A kiedy Charley, albo ja upadniemy i płaczemy, to wujcio Harry zaraz biegnie, choćby nie wiem jak był zajęty i podnosi nas i uspokaja. Niedawno temu, to aż rzucił na ziemię cygaro, tak się spieszył gdy mnie osa ukąsiła i Charley podniósł cygaro i zjadł całe, a potem był z tego okropnie słaby.

Ostatni ten wypadek nie zdawał się zajmować głęboko Mrs Mayton — może dla tego, że nie widziała żadnego związku między nim, a obecną swoją troską.

Edwardek ciągnął dalej: — A dzisiaj, czy nie był dobry dla mnie? — przestał się golić, żeby mnie pocieszyć i zabawić, gdy mi było smutno, żem się nie miał z kim bawić i że mama nie wraca i już chciałem umrzeć i pójść do nieba.

Myśli Mrs Mayton odbywały szybką i natężającą pracę a serce jej zmiękło trochę względem głównego winowajcy.

— A gdybym też nie pozwoliła mojej dziewczynce jeździć z nim na spacer? — odezwała się do Edwardka.

— Wtenczas byłby bardzo, bardzo nieszczęśliwy i mnieby bardzo żal było, bo nie trzeba żeby ktoś tak dobry był nieszczęśliwy.

— A jeśli jej pozwolę z nim jeździć?

— To cię na śmierć zacałuję, za to żeś taka dobra dla mego wujcia! — zawołał Edwardek, i jakby naprzód już pewny jej zezwolenia rzucił się na jej kolana i zaczął je całować i ściskać obiema rączkami.

— Niech Bóg błogosławi twoje zacne serduszko — zawołała mrs Mayton — jesteś z tej samej krwi i mam nadzieję, że nie pożałuję mego postanowienia, choć właściwie jest ono zbyt pospiesznie powzięte. (Dok. nast.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

China. Ergebnisse eigener Reisen und darauf gegründete Studien, v. Ferdinand Freiherrn v. Richthofen. I Band. Einleitender Theil. Berlin. Dietrich Reimer 1877.

Mamy przed sobą dzieło, które krytyka zagraniczna, pomimo że dopiero pierwszy, i to wstępny tom opuścił prasę, powitała jako pomnikowe w literaturze geograficznej

Sądząc z tytułu, myślelibyśmy, że jest to opisanie Chin, bardziej zapewnie szczegółowe i wyczerpujące, niż wszystkie dotychczasowe, ale nic więcej, i odsunęlibyśmy książkę, mimo jej przepysznego wydania, twierdząc, że państwo

syna słońca zanadto mało nas obchodzi, abyśmy się zabierali do studjowania o niem trzech tomów, z których pierwszy liczy 758 stron w wielkiej ósemce, a dwa następne niemniejszej będą objętości. Tak sądząc bylibyśmy w błędzie. China Richthofena, jest najznakomitszem dziełem, jakie od czasu sławnej pracy A. Humboldta *Asie centrale* (1843, 3 tomy) napisane zostało o Azji środkowej, a nawet o całej Azji w ogóle. Idąc drogą wskazaną przez K. Rittera i A. Humboldta, którzy pierwsi podnieśli geografią do wysokości nauki, posuwa Richthofen dziełem swojem całą tę naukę o potężny krok naprzód, rozwija nowe zupełnie poglądy, wyjaśnia i rozwiązuje najważniejsze zagadnienia z geografii porównawczej. Nie jest to bynajmniej jedna z tych relacyj z podróży, jakiemi nas zasypuje tegoczesna literatura geograficzna, lecz dzieło naukowe, na ogromne zakreślone rozmiary, oparte na autopsji i rozległych, długoletnich studjach i badaniach geologicznych, klimatologicznych, etnograficznych i historycznych, wnikające w istotę rzeczy i ostateczne wszystkich zjawisk przyrody i kultury przyczyny, wychodzące z granic Chin na szerokie pole całej geografii fizycznej i zestawiające w porównawczych poglądach rezultaty badań ze wszystkich kończyn świata.

Dla tej to wszechstronności właśnie, dla tej ważności dla nauki geografji w ogóle — postanowiliśmy podać naszym czytelnikom dokładniejszą wiadomość o dziele Richthofena. Nim jednak rozpatrzymy się w dziele samem, poznajmy naprzód jego autora.

Ferdynand baron Richthofen, urodzony w r. 1833 w Karlsruhe na Szląsku pruskim, pracował przez dłuższy czas w Austrji, jako geolog, przy c. k. państwowym zakładzie geologicznym, i robione tu geologiczne zdjęcia w tyrolskich Alpach i w Karpatach węgierskich i siedmiogrodzkich były dla niego, jak sam wyznaje, najlepszem przygotowaniem do jego późniejszych podróży. W r. 1860 opuścił swoje stanowisko przy zakładzie geologicznym i przyłączył się do ekspedycji pruskiej do wschodniej Azji. Ówczesne stosunki w Japonii i Chinach nie pozwoliły jednak tej ekspedycji zapuścić się w głąb kraju i członkom jej zabroniono obejść i zbadać nawet ten niewielki obszar, który z jednego punktu w Kantonie przejrzeć byli wstanie. Ale w roku 1861 powiodło się Richthofenowi zwiedzić na fregacie *Thetis* wyspy *Formozę*, *Filipiny*, *Celebes* i *Jawę*, poczem odbył podróż po cesarstwie *Siam* i innych częściach Indyj zagangesowych, zkąd, widząc że plan wyprawy w głąb Azji na teraz nie da się zrealizować, udał się do północnej Ameryki w celu dokładniejszego poznania *Kalifornii* i *Newady*. Dopiero w r. 1868 wybrał się ponownie w podróż do Azji wschodniej i zajrzawszy tylko po drodze do Japonii, wylądował d. 5. września w *Shanghai*, nie miawszy przed tem, jak sam powiada, sposobności ani do nabycia znajomości języka chińskiego, ani do obeznania się z literaturą o tem rozległem państwie, u którego bramy stanął, a które pomimo wielu ogłoszonych już o niem szczegółów, było jeszcze zawsze uważane za nieznane, albo przynajmniej za niezrozumiane pod względem budowy, ukształtowania i rozczłonkowania geograficznego. Orografia kraju nie była jeszcze oparta na pewnych podstawach geologicznych, związek stosunków klimatycznych z plastyką ziemi i jej własności geologiczne musiały być dopiero zbadane. To też było zadaniem naukowem Richthofena. Stworzyć podstawę naukowego zrozumienia geografii Chin, oznaczyć w głównych zarysach stosunki hipsometryczne, odkryć prawa rozpołożenia gór, zbadać geologiczną budowę, wyjaśnić związek właściwych Chin z niemającymi odpływów obszarami centralnej Azji z jednej strony, a z górzystemi krainami Tybetu z drugiej, znaleźć prawidła zmian klimatycznych — oto program, który sobie ułożył Richthofen.

Przystępując do wykonania tego programu, robił Richthofen, po krótkim pobycie w Pekingu dla wyrobienia sobie nieodzownych dokumentów podróżnych, wycieczki do *Ning-po*, na archipelag *Tshushan*, do *Hang-Tshou-fu*, do jeziora *Taihu*, do *Tshin-Kiang* i do *Nankingu*.

Druga podróż, od 7. stycznia do 21 lutego 1869, miała na celu poznanie dolnego biegu rzeki *Yang-tse* od *Shanghai* po *Hankou*. Pomimo niesprzyjającej pogody powiodło się Richthofenowi odkryć tam formacje węglowe i poznać cały szereg dawniejszych od węglowej formacyj.

Trzecia podróż, od 13. marca do 19. lipca, zaprowadziła go do prowincji *Shantung*, na półwysep *Lian-tung* i do południowej *Mandżurji*, aż do granic Korei. Z *Mukden*, dawnej stolicy, powrócił do Pekingu, a potem przez *Tshi-fu* do *Schanghai*.

Czwartą podróż, od 24. września do 31. października poświęcił poznaniu prowincyj *Kiangsi* i *Tshekiang* Przejechał na łodzi *Yang-tse* i jezioro *Poyang*, zwiedził *King-te-tshönn* główne miejsce wyrobu porcelany, i znajdujące się w pobliżu pokłady ziemi porcelanowej.

Po kilkotygodniowym wypoczynku udał się Richthofen na piątą podróż po prowincjach *Kwangtung*, *Hupei*, *Houan*, *Shansi* i *Tshili*, która trwała od początku stycznia do końca maja roku 1870. Przejechał on w kierunku z południa na północ cały obszar kraju od Kantonu po Peking. Naprzód udał się w górę rzeką *Pei-kiang*, potem przeszedł na obfitujące w węgle dorzecze rzeki *Lui* w Houan, którego nieprzyjaźni mieszkańcy robili obcym niemożliwem podróżowanie po kraju. Do jeziora *Tungting* przybył w czasie najniższego stanu wody; w miejscu wyschniętego jeziora rozpościerała się nieprzejrzana piaszczysta równina. Po drodze z Hankou do Houan-fu przebył odnóża olbrzymich, prastarych gór Kwenlun i przeszedł rozległe osady iłów, z których wznoszą się potężne, dotąd nieznane góry. Następnie przeprawił się przez Żółtą rzekę i przejechał piaskowyż *Schansi*, kraj najbogatszy w węgle na całej kuli ziemskiej, posiadający prócz tego także wydatne pokłady rudy żelaznej, a nakoniec zstąpił w równinę Pekingu.

Po krótkim pobycie w Japonii przedsięwziął Richthofen szóstą podróż do prowincyj chińskich *Tshekiang* i *Nganhwei*, a już w październiku r. 1871 udał się po raz siódmy w głąb Chin, dotarł aż do południowych granic Mongolii i dopiero w maju następnego roku powrócił Jangtse-Kiangiem do ujścia tej rzeki, aby w kilka miesięcy potem udać się z powrotem do Europy.

Już ten pobieżny przegląd podróży Richthofena przekonywa, że przejechał on wzdłuż i w szerz rozległe państwo chińskie tak, jak żaden z jego poprzedników.

W pierwszej części swojego dzieła, zatytułowanej „Chiny i Azja centralna“, a podzielonej na siedm rozdziałów, skreśla nam autor tak jasny, dokładny i przekonywujący obraz Azji środkowej, jakiego przed nim żaden z podróżników nie skreślił. W pierwszym rozdziale, badając konfigurację kraju na podstawie jego budowy geologicznej, wykazuje, że Humboldta określenie Azji centralnej jest niedokładne, i opierając się na rozpodzieleniu wód, zalicza do Azji środkowej ten obszar, którego wody nie uchodzą do żadnych mórz, lecz wlewają się do martwych jezior wśród lądu położonych lub gubią się w stepach i pustyniach. Obszar ten rozpościera się tedy od wyżyny *tybetańskiej* na południu, do gór *Altaj* na północy i od wyżyny *Pamir* na zachodzie podział wód obu wielkich strumieni chińskich i po góry *Khingan* na wschodzie. Z obszarem tym łączy się jakoby przez międzymorze również bezodpływowy wyż *irański* przedniej Azji. Środkowe te wyżyny opasują dokoła obszary, których wody uchodzą już do morza. Do tego pasu zewnętrznego (peripherische Regionen) zalicza on ze względu na budowę jej geologiczną także nizinę *aralo-kaspijską*, pomimo że jej rzeki nie uchodzą do morza, lecz do wielkich jezior, które są resztkami wyschniętych mórz.

Pomiędzy temi dwiema strefami rozróżnia Richthofen krainy przechodowe, t. j. takie, których wody dopiero w najnowszych czasach spłynęły do morza. Do zewnętrznego, odpływowego pasu należą także wyspy oddzielone tylko płytkiemi kanałami od stałego lądu, gdyż, jak przekonywają mapy głębokości oceanu, ciągną się szeroką ławicą wzdłuż wybrzeży mielizny, które dopiero w pewnej odległości obrywają się stromo w głębię prawdziwie oceaniczną.

Różnica pomiędzy krainami centralnemi a odpływowemi określona jest ściśle i dobitnie. W pierwszych atmosferyczne siły dążą do wyrównania wszystkich zaklęsłości odtokiem, gruzem i pyłem, wytworzonym przez wietrzenie i obsypywanie się gór; w drugich przeciwnie mają przewagę siły, które wszystkie te produkta zniszczenia odprowadzają. Podczas gdy w pierwszych nagromadzają się nawet ciała rozpuszczalne z braku wód odprowadzających, w skutek czego nasiąka grunt solą i staje się do uprawy rolnej nieprzydatnym, to przeciwnie w drugich znajdujemy wszędzie najpomyślniejsze warunki dla życia roślin, zwierząt i ludzi. Ostatecznym wynikiem tych różnic w przyrodzie krain centralnych a odpływowych jest, że w pierwszych przy niedostatecznych warunkach bytu mogły tylko koczownicze plemiona niestałe wieść życie, w drugich przeciwnie pozostawały stałe osady, rozwijały się państwa, a skutkiem tego i cywilizacja większe zrobiła postępy.

Na szczególniejszą uwagę pod względem cywilizacyjno historycznym zasługuje rozdział, w którym autor wykazuje, w jakim związku z ukształtowaniem pionowem Azji centralnej zostawały wędrówki jej ludów.

W centralnej części Azji znajduje się wielka liczba mniejszych i większych płytkich kotlin, które leżą w części jedna obok drugiej, w części upłazami jedna nad drugą bez ostrego odgraniczenia, jakie gdzieindzie tworzą góry. *Han-hei* tj. suche morze, nazywają Chińczycy dzicie, stepy i pustynie, ścielące się po szerokich obszarach pomiędzy górami *Kwen-lun* a *Altajem*; i nie można było trafniej ich nazwać, gdyż istotnie cały ten kraj jest tylko dnem dawnego morza, które spłynęło na zachód dżungarską kotliną w stepy Turanu, aby w końcu i ztamtąd ustąpić, pozostawiając pamiątką po sobie wysychające jeziora kaspijskie i aralskie. Jak fala przypływu, wtłaczając się z otwartego oceanu w wąską pomiędzy lądami cieśninę, z wzrastającą prze gwałtowno-

ścią i albo się łamie w zamkniętej niemi zatoce, albo przedarłszy się znowu na pełne morze traci siłę w rozlewie — tak i powodzie ludów, które występowały od czasu do czasu z koczowisk Azji centralnej, łamały się w zamkniętej kotlinie rzeki Tarym i wylewały się z podwójną gwałtownością otwartą ku dwom stronom kotliną Dżungarji. Powodzie te ludów wylewały się częścią na wschód do Chin, w części na zachód przez nizinę turańską aż do Europy. Na południe zamykało im drogę wysokie pasmo gór; na południowym zachodzie nie mogły znaleźć wyjścia z zamkniętej kotliny wschodniego Turanu. Wtłoczone w ten zakątek ludy musiały dlatego, aby wyjść z matni, albo wędrować napowrót tą samą drogą, albo stale się tam osiedlić, do czego znajdowały odpowiednie miejsca na stokach gór i z tego to powodu poczęły się w tej części Azji centralnej już w najdawniejszych czasach wytwarzać państwa.

Wielce charakterystycznem dla tych powodzi ludów jest to, że wpływ, jaki one wywierały na zalane przez nie krainy był zawsze przemijającym. Dzikie te hordy zaledwie dotknęły stopą swoją obszarów odpływowych, zmieniały sposób życia. Koczownicza włóczęga ustępowała miejsca stałemu osadnictwu; namioty zmieniały się w domy, obozowiska w wsie i miasta; pasterze i rabusie stepowi stawali się rolnikami, prostota obyczajów znikała, potrzeby mnożyły się, pierwotna ich siła surowa słabła i traciła się, a w końcu i one same ginęły w zmienionych warunkach życia.

(C. d. n.)

KRONIKA NAUKOWA.

(Zachowanie się gazów w stanie nadzwyczajnego rozrzedzenia. Odkrycia W. Crookes'a).

Nauka fizyki robi w obecnych czasach tak olbrzymie postępy, że zaledwie zdążyć można z poznaniem wielkich i pełnych doniosłości odkryć, następujących po sobie w zadziwiająco krótkich odstępach czasu.

Rok ubiegły został zakończony właśnie jednem z takich doniosłych odkryć, przedstawiającem zupełnie nowe pole do badań. Jak rok naukowy 1877 skończył świetnie swą karjerę, zgęszczeniem przez Picteta i Cailleteta wszystkich gazów uważanych do owego czasu za stałe, tak 1878. zamknął się ważnemi odkryciami Crookes'a tyczącemi się stanu gazów w nadzwyczajnem rozrzedzeniu.

Pictet i Cailletet zgęszczali różne gazy i zdołali zamienić w płyn lub stałe ciała, wodór, tlen, azot i inne gazy. Crookes szedł drogą odwrotną, rozrzedzał gazy do możliwych granic, otrzymywał stan, nazwany przezeń *ultragazowym*, i badając go doszedł do niezmiernie ciekawych rezultatów, rzucających nowe światło na wewnętrzny skład i budowę gazów.

Crookes należy do najzdolniejszych i zarazem najdziwniejszych ludzi naukowych naszego czasu. Karjerę swą naukową rozpoczął odkryciem pierwiastku *Talu*, i z początku poświęcał się przeważnie chemji. Obdarzony wielką wrażliwością i bujną fantazją, dał się uwikłać w sidła spirytystów, których dziwacznym objawom zaczął wierzyć jak najzupełniej. Widział jakieś duchy, rozmawiał z niemi, podał teorją spirytyzmu i stał się prawie jego głową w Anglji. Wielka jego powaga naukowa (jest członkiem Royal Society) przyczyniła się do rozpowszechnienia mrzonek w sposób nadzwyczajny i to jest jego największym grzechem życia. Spirytystycznym sztuczkom oddaje się z najlepszą wiarą aż do tej pory. Jednakowoż jednocześnie pracuje w dziedzinie fizyki, i tam otrzymuje znakomite rezultaty, równoważące owe słabe strony. Przed paru laty odkrył znany wszystkim *radiometr*, wyjaśnił jego teorję, a obecnie obdarzył naukę nowemi, a obfitemi w rezultaty spostrzeżeniami.

Według nowej ewangelii naukowej, gazy składają się z niezliczonego mnóstwa małych, niewidzialnych cząstek zwanych drobinami, ruszających, drgających w każdej chwili z niezmierną szybkością. Teorja gazów, tak zwana „kinetyczna" powiada „iż każda przestrzeń gazowa zawiera niezliczone miliony milionów drobin, drgających niezmiernie szybko we wszystkich kierunkach i uderzających jedne o drugie miliony razy na sekundę". W zwykłym stanie gazowym drobiny są bardzo blisko od siebie, każda więc z nich drgając małą tylko może robić drogę i uderza ciągle o wszystkie swoje sąsiadki. Inna rzecz, gdy gaz zostanie bardzo rozrzedzonym za pomocą potężnych pomp pneumatycznych. Wtedy w danej objętości ilość drobin jest bez żadnego porównania mniejszą, każda z nich odbywać może swobodnie drgania na znacznej przestrzeni i niekoniecznie za każdym razem uderzyć musi o inną drobinę. Są chwile, kiedy odchyliwszy się na bok bez zetknięcia z drugą wraca napowrót i biegnie w przeciwną stronę. Gaz traci już wtedy swe zwykłe własności, przechodzi w stan *ultragazowy* i przedstawia zjawiska dziwne, którym kilka słów poświęcimy.

Wprzód jednak musimy przypomnieć w kilku słowach opis radiometru i jego teorję znajdującą się w bardzo bliskim związku z nowymi faktami. Radiometr, jest banią szklanną, z której do wysokiego stopnia wypompowano powietrze. Wewnątrz niej na ostrzu obraca się krzyż z lekkiego metalu jak aluminium albo też szkła, noszący na końcu swych czterech równych ramion pionowe blaszki mikowe, poczernione z jednej a połyskujące z drugiej strony. Taka jest budowa całego aparatu. Skoro go wystawimy na działanie światła albo ciepła, to młynek krzyżowy szybko się obraca, zewsze w jednym kierunku. Gdy się radiometr obracał, przypuszczano, iż otrzymano bezpośredni mechaniczny skutek od uderzenia promieni jasnych lub cieplikowych o skrzydełku młynka. Lecz teorja ta musiała być wkrótce opuszczoną i Crookes po kilkomiesięcznej doświadczalnej pracy, podał inną obecnie dość ogólnie przyjętą. Twierdzi on, że drobiny gazu znajdującego się w stanie ultragazowym zaczynają nabierać ruchów większych pod wpływem promieni świetlnych i cieplnych, uderzają się o skrzydełka młynka, a z drugiej strony o ścianę bani szklannej, i popychając owe skrzydełka nadają im ruch obrotowy.

To co w radiometrze robiły promienie, to przy nowych badaniach Crookes'a czyni prąd elektryczny, przechodzący przez rozrzedzone gazy. On to jest przyczyną nadającą gwałtowny ruch drobinom. Lecz te ruchy dawniej były tylko młynkiem konstatowane, dziś można je do pewnego stopnia widzieć i oznaczyć granice.

Wszystkim obznajomionym choć cokolwiek z doświadczalną fizyką, znanem jest doświadczenie z iskrą elektryczną przebiegającą przez wypróżnioną banię szklanną. Zwykle to doświadczenie robi się w ten sposób, iż do jednego bieguna metalowego bani przepuszcza się jeden drut od cewki indukcyjnej, a do drugiego drugi. Za każdym przebiegiem prądu bania oświeca się wewnątrz fioletowem światłem. Każdemu wpadło wtedy w oko, że koło bieguna dodatniego powstaje silne mgliste światło, a około *ujemnego*, w bezpośredniej jego bliskości, ciemna, zaokrąglona przestrzeń. Robi to wrażenie jakby światło wytryskało z dodatniego bieguna i zmierzało ku ujemnemu, lecz go nie dotykało.

Otóż Crookes znalazł, iż głębokość tej ciemnej przestrzeni, odgrywającej w dalszych poszukiwaniach główną rolę, zależy od stopnia rozrzedzenia gazu, od rodzaju tego gazu, od temperatury biegunów etc. Najważniejszem z tego wszystkiego jest to, iż przestrzeń ta zwiększa się stosownie do rozrzedzenia. Im więcej się pompuje, tembardziej wysuwa się ona naprzód.

Crookes badając tę przestrzeń przyszedł do przekonania, iż ona przedstawia granicę drgań drobin odbitych od ujemnego bieguna. Prąd elektryczny odbija od bieguna ujemnego drobiny i rzuca je naprzód; te lecą aż póki nie spotkają innych drobin. Im większe rozrzedzenie tem dłuższą muszą odbywać drogę, a w miejscu gdzie się uderzają z innemi drobinami powstaje światło. Dowodziłoby to, że głębokość przestrzeni ciemnej jest miarą długości biegu każdej drobiny. Żeby prawdziwość tego przypuszczenia wykazać, zbudował Crookes aparat mający wiele podobieństwa z radiometrem. W bani szklannej znajduje się młynek całkowicie zrobiony z lekkiego metalu aluminium (glinu) i połączony elektrycznie z biegunem ujemnym. Skrzydełka młynka zrobione są zamiast z miki z blaszek aluminiowych, a na jednej stronie pokryte są cieniutką izolującą blaszką miki. Biegun dodatni wchodzi do bani u góry. Młynek, a w szczególności jego skrzydełka stanowią zakończenie ujemnego bieguna. Gdy się przepuści prąd, to powstaje wewnątrz bani światło za każdym przebiegiem iskry, a naokoło skrzydełek po stronie metalicznej, niepokrytej miką ciemne przestrzenie, zwiększające się z rozrzedzeniem. Z początku, gdy to rozrzedzenie jest słabe, pokazuje się na skrzydełkach, od strony metalicznej fioletowawe przylegające światełko; gdy ciśnienie zmniejsza się, zaczyna się tworzyć wązka, ciemna przestrzeń, grubiejąca bez przerwy podczas pompowania. Młynek jednak nie rusza się wcale. Skoro jednak przestrzeń ciemna zajęta, szybko od ścianki skrzydła odbijającemi się, drobinami, stanie się tak wielką, iż dotknie do ścianek bani, natychmiast powstaje bardzo szybki obrot młynka. Drobiny odbijane wyładowaniem elektrycznem od ujemnego bieguna, bombardują ścianki bani i oddziaływaniem swem wprawiają radiometr w obrót.

Oto są słowa Crookes'a objaśniające tę sprawę: „Grubość ciemnej przestrzeni, jest miarą średniej odległości między następującemi po sobie uderzeniami drobin. Nadzwyczajna szybkość, z jaką drobiny odskakują od ujemnego bieguna powstrzymuje inne drobiny zbliżające się doń wolniej. Spotkanie następuje na granicy ciemnej przestrzeni, gdzie jasny rąbek daje świadectwo wielkiej energji przy uderzaniu się drobin." Jeśli rozrzedzenie jest dostatecznie wielkie, także odległość między następującemi po sobie uderzeniami drobin, czyli głębokość ciemnej przestrzeni jest większą niżeli odległość bieguna od ściany naczynia, to drobiny zamiast uderzać o swoje

sąsiadki gazowe uderzają o ściany szklannej bani.

Jeśli się w chwili, gdy ciemna przestrzeń dosięgnie ściany bani wstrzyma radiometr, to w miejscu, gdzie odbite drobiny uderzają o ścianę, powstaje na szkle miejsce fosforycznie świecące przy zwykłem szkle zielono. Energia uderzających drobin zużywa się na wywołanie światła, a jak doświadczenia późniejsze pokazały i znacznej ilość ciepła.

Ciekawym jest fakt, że drobiny odbijają się od powierzchni bieguna ujemnego w kierunku prostopadłym. Łatwo to zauważać gdy się wstawi na końcu bieguna miseczkę metalową, w kształcie małego wklęsłego źwierciadła. Drobiny odbijąc się wtedy, skupiają sie w ognisku, które silniej świeci, niż inne punkta granicy ciemnej przestrzeni.

W tym punkcie, w tem ognisku uderzenia drobin są tak gwałtowne, że powstaje nawet bardzo znaczna temperatura. Crookes zdołał stopić w tem cienką blaszkę platynową.

Br. Abakanowicz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Płeć piękna, biorąc tę szanowną połowę rodu ludzkiego w znaczeniu ogólnem, w ubiegłym tygodniu poniosła moralną klęskę we Lwowie. Sąd przysięgłych uniewinnił Bommera za zabicie Przedrzymirskiego, który jak wiadamo położył głowę za przyjacielskie usługi oddawane wujance. Mówię tu *przyjacielskie*, powtarzając słowa c.k. prokuratora państwowego i wnoszę stanowczo, że ta najwyższa w kraju naszym magistratura oskarżająca, przechodzi na stronę kobiet. — To też po ogłoszeniu weredyktu uniewinniającego Bommera, na kurytarzach gmachu sądowego odzywały się głosy niezadowolnionych romantyczek o stronniczości sądów przysięgłych. „Zwyczajnie mężczyzni za mężczyznami“—mówiono—i o ile nas dochodzą wieści postanowiono rozpocząć agitację za reformą sądów przysięgłych tak, aby na przyszłość i kobiety miały prawo zasiadać na ławkach sędziowskich. Czy agitacja ta doprowadzi do ustanowienia spodnicowych sądów, (a dlaczegożby nie, jeżeli mogły być dawniej kapturowe)—trudno dziś przewidzieć, — jednakże wyrok w sprawie Bommera zamącił bardzo spokój sumienia niektórych lowelasów tutejszych.—Strach ma wielkie oczy, zwłaszcza jeżeli jest aplikowany z taką prawdziwie radykalno-konserwatywną zaciekłością.

Od klęski pań romantycznych przechodzę do klęski lichwiarzy, a choć napozór między temi dwiema korporacjami nie ma żadnego związku, to jednak przypatrzywszy się bliżej skutkom ich działalności, dają one bardzo zbliżone rezulaty. Piękne panie lokujące kapitał uczuć swoich w sercach naszych, żądają już nie sto za sto jak brodaci lichwiarze, ale więcej niż tysiąc za sto od swoich dłużników. Od żydów można się uwolnić na mocy ustawy galicyjskiej o lichwie, albo dorażnego wyroku policji, jak to się dzieje w Wiedniu, — a pokażcie mi takiego który się uwolnił od natarczywej miłości zakochanej kobiety. Prześladowani przez lichwę, ma się rozumieć tam gdzie nie ma ustawy,—strzelają sobie w łeb—a prześladowani w miłości strzelają nietylko sobie, ale i drugim. Z czego wynika, że Galicja jako kraj inicjatywy prawodawczej w monarchii Austro-Węgierskiej, powinna pomyślić o ukróceniu nadużyć kobiecych i niedopuścić pastwienia się ich nad mężczyznami w sprawach uczuciowo-sercowych.

Bądź co bądź faktem jest, że policja wiedeńska zapowiedziała nam powrót siedmiu marnotrawnych synów z brodami do Galicji, synów, którzy zamiast ssać rodzime soki chłopów naszych z pod Jazłowca, dobierali się do piersi c. k. oficerów i urzędników stabilizowanych wiedeńskich. Otóż wobec takich dowodów pieczołowitości c. k. władz naczelnych o dobro autonomiczne galicyjskie, jesteśmy w wielkim kłopocie, jak tu się wywdzięczyć naszym dobrodziejom. Polacy nie potrafią być niewdzięcznymi, i o ile słyszeliśmy tworzy się już komitet, który zarządziwszy ścisłą kwerendę tego wszystkiego co tu mamy z Wiednia, postara się abyśmy z lichwiarskim procentem oddali grzecznym Wiedeńczykom piękne za nadobne.

Tymczasem strach przed deportacją, bardzo korzystnie oddziałał u nas na stosunki wierzycieli i dłużników bez uciekania się nawet do moratorjum. Szanowni lichwiarze tutejsi zapomnieli o terminach, nie upominają się o procenta, a jeżeli któremu wyrwie się jakie niebaczne słówko, to chyba już jako uniżona prośba o sam kapitał... nic, tylko kapitał.

Z kolei rzeczy mamy jeszcze do zanotowania drugą klęskę pań naszych, a tą jest bardzo smutny stan Stowarzyszenia pracy kobiet, któremu jak wykazało ostatnie sprawozdanie doroczne, co raz to gorzej idzie. Nic się nie opłaca, czyli raczej do wszystkiego się dopłaca, nawet do białego szycia. Szanowne, piękne panie weźcie do serca bliżej tę sprawę obchodzącą tak blisko wasz honor i zdolności emancypacyjne. Nie idzie tu o żadne ofiary, ale poprostu o dawanie roboty zakładom stowarzyszenia, roboty, którą będziecie mieli wykonaną porządnie, pod nadzorem, pod gwarancją i nie drożej niż gdzieindziej. O taką drobnostkę prosi Stowarzyszenie, a serca wasze głuche są!

Koncerta Towarzystwa muzycznego, koncerta na cele dobroczynne idą swoim porządkiem i mają zasłużone powodzenie. Szczególniej koncert na dochód chórów męskich w sali Domu Narodnego zgromadził liczną publiczność i wywołał kilkakroć grzmiące oklaski. Zarząd kasyna mieszczańskiego krząta się również urządzając postne przedstawienia teatralne, toż samo robi Gwiazda, a Sokół daje reprodukcje gimnastyczne dla zachęty zwyczajnych śmiertelników chodzących po staremu nogami po ziemi. W kwietniu mamy zapowiedziany przyjazd najznakomitszego dziś tragika włoskiego Rossi i to wypadkiem tylko, bo nie mogąc jechać do Petersburga z powody dżumy, z obawy wcale nie tragicznego skonu w łóżku, zdecydował się rozbudzić u nas resztki namiętności lwowskich we włoskim języku. Wyobrażam sobie już z góry jaki to będzie ścisk przed kasą teatralną, a jakie ceny, a jaka chęć do uczenia się włoskiego języka? Księgarnie nasze już powydobywały z pyłu zapomnienia stare słowniki i metody włoskie a kupcy w sklepach korzennych wystawiają za oknami zwoje makaronów, które niezawodnie przyjdą po 1 kwietnia do mody.

Zamiast zapowiedzianego i wciąż odkładanego założenia nowego dziennika, dla ochłody tromtadratycznej krewkości ducha naszego, — zawiązało się tutaj nowe stowarzyszenie Hydropatów. Statut tej instytucji na pozór jest bardzo niewinny a mianowicie ma za cel rozbudzenie zamiłowania i wiary do wody z najczęstszym ile można oblewaniem się na zimno. Otóż wielu zaciętych polityków naszych podejrzywa to nowe towarzystwo o cele głębiej sięgające, cele politycznego znaczenia w duchu stańczykowskim. Oblewać zimną wodą, oblewać ciągle, systematycznie wszystko i wszędzie, jest hasłem nad Wisłą, gdzie metoda ta oddawna się już praktykuje, a nawet w tych czasach zaaplikowaną zo stała i w Poznaniu przez dwóch prelegentów wysłanych na apostolstwo w tamte strony.... „Warta“ jest tem zgorszona i obrażona, że jej wydarto monopol oblewania wodą księstwa poznańskiego, rzuca więc anatemę na tych przybyszów chociaż w wyrazach misternie poobwijanych w bawełnę.

Uroczystości na cześć J. I. Kraszewskiego już się rozpoczęły w tym roku jubileuszowym; dnia 19. marca, jako w dzień imienin czcigodnego mistrza, towarzystwo polskie mieszkające w Dreznie, wręczyło mu medal złoty na cześć jego wybity i wyprawiło bankiet, podczas którego otrzymał solenizant przeszło 200 telegramów winszujących z różnych stron świata, to więcej niż po królewsku!

* * *

Wielbiciele Szekspirowskich nieśmiertelnych utworów, mają i będą mieli dosyć do używania. W małych odstępach widzieliśmy następujące po sobie przedstawienia: Hamleta, Otella, Ryszarda trzeciego, których podtrzymanie i utrzymanie na scenie, dzielnej i pełnej artyzmu grze Ładnowskiego zawdzięczamy. Bez niego nie mielibyśmy Szekspira. Obecnie na benefis swój wybrał króla Leara, chcąc tem zamanifestować swe przywiązanie do angielskiego mistrza, sądzimy więc, że wielbiciele jego, odpłacą mu za trudy jak najliczniejszym udziałem. A przedstawienie to tem bardziej będzie zajmującem, że podobno Rossi ma także grać Leara. Zobaczymy!

* * *

Na rekwizycję c. k. sądu krakowskiego uwięziono p. Antoniego Mańkowskiego, zarządcę drukarni Związkowej. Przy tej sposobności z nadzwyczajną ostentacją w samo południe odbyto rewizję ścisłą w tej drukarni, tudzież w prywatnem pomieszkaniu pana M. pod l. 48 przy ul. Halickiej, szukając poszlaków socjalizmu. Ani w drukarni ani w pomieszkaniu nic podobnego się nie znalazło. P. Mańkowski jest znaną we Lwowie z gorącego patrjotyzmu i zacnego charakteru osobistością, i dlatego uwięzienie jego przykro dotknęło wszystkich, bliżej go znających. Jak słychać, sygnalizowany niedawno komendant szpiegów pruskich p. Żernicky przybył już do Galicji z kilku ajentami kryminalnej policji berlińskiej. Zdaniem naszem, władze austrjackie powinneby prowadzić swoje śledztwa samodzielnie, a uchroniły by się od omyłek i zagmatwania, wskutek których co chwila publiczność jest niepokojoną. P. Mańkowski został zaraz odstawiony do Krakowa. Liczna rodzina pozostała bez opieki.

ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO.

Kilka tygodni temu wspominaliśmy w naszem pismie o pięknym rozwoju chóru męskiego towarzystwa muzycznego. Koncert tegoż chóru, który się odbył w zeszły czwartek przekonał najlepiej publiczność, że pochwały nasze nie były przedwczesnemi. Był to koncert czysto wokalny: program składał się

z produkcyj solowych, kwartetów i chórów, a wzorowe wykonanie wszystkich numerów zachwyciło licznie zebraną, doborową publiczność. Prześliczne chóry Ławrowskiego z ruskim tekstem „Krasna hora“ i Jareckiego „Noc“ odspiewana z precyzją i wystudjowaną modulacją głosów, nie mniej chór E. B. „Wilja tułacza“ przyjęła publiczność hucznemi oklaskami. Również podobało się solo tenorowe odspiewane przez ulubionego amatora p. Myszugę, o którego zaletach mieliśmy przyjemność pisać w poprzednim numerze. W kwartetach solowych wykonanych bez zarzutu, odznaczył się przedewszystkiem baryton p. K., który posiada głos o rzadkiej szlachetności dźwięku. Koroną jednak koncertu była wielka kompozycja Brucha pt. „Fritjof“, sceny z sagi skandynawskiej Izajasza Tegnera, na chór męski i sola: barytonowe i sopranowe. Dzieło to impunujące: z każdego taktu wieje mistyczny duch legend północnych: to kwili jak dziecię, to znowu jak szalone orkany wybucha gwałtownie, porywa za sobą, przejmuje, przenika. Kompozytor uzmysłowia nam poważny pochód skaldów, żywemi basami illustruje tragiczną grozę pożaru, a w ostatnim chórze „Hej! dalej za morze!“ zapala słuchacza duchem wojowniczym, każe mu niejako stanąć w szeregu z dzielnymi wojownikami, mścić się i ze skrwawionym brzeszczotem przestąpić progi Walhalli. Partja barytonowa Frithofa składa się przeważnie z *recitativ*, ale tak charakterystycznych, tak wspaniałych, że słucha się ich z większą przyjemnością, aniżeli poprzednich aryj; sopran (Ingeborga) ma jeden przepiękny numer pełen uczucia i poezji. Solowe partje odspiewane przez p. W. i panią S. wykonane były wybornie ze zrozumieniem i przejęciem się, chóry silnie obsadzone poszły składnie i z werwą. Nie brakło w nich delikatnych cieniowań, co świadczy o sumiennej i wytrwałej pracy dyrygenta p. Cetwińskiego, którego w każdym niemal numerze wdzięczna publiczność hucznymi oklaskami przywoływała na estradę. Winszujemy ze serca chórowi męskiemu Tow. muz. odniesionego sukcesu i spodziewamy się, że częściej uprzyjemniać będzie chwile publiczności swojemi produkcjami.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ Księgarnia Polska podjęła nakład dzieła p. Teofila Merunowicza pt. *Kwestja żydowska w Galicji* i dzieło to wkrótce wyjdzie z druku. Posiadamy już niemało broszur i obszerniejszych prac w tym przedmiocie, praca jednak p. Merunowicza nietylko nie będzie zbyteczną, lecz przeciwnie wprowadzi może sprawę na właściwe tory. Mało kto u nas zna tak dokładnie potrzeby kraju i niedostatki społeczne jak pan Merunowicz, który swemi dziełami i artykułami dziennikarskiemi dał tego dowody, nikt też gruntowniej nie potrafiłby wskazać właściwego znaczenia sprawy żydowskiej w naszem społeczeństwie. Autor nie ograniczył się jednak na własnych studjach, owszem przewertował wszystko, co w kwestji żydowskiej zostało napisanem u nas i za granicą i dopiero porównawszy swoje spostrzeżenia z badaniami innych przystąpił do opracowania powyższego dzieła, które mamy nadzieję nie małą korzyść przyniesie.

⁂ Dr. Herbert Krasiński wydał „Przyczynek do nosagenji (cholery i dżumy)“.

⁂ „Wykład arytmetyki handlowej“, p. Stanisława Kramsztyka.

⁂ „Zasady poprawnego pisania“, p. Józefa Kamocką.

⁂ „Zasady muzyki“, Studzińskiego wyjdą w trzeciem wydaniu.

⁂ „Bohater wieku (Lord Beaconsfield), szkic z życia polityczno-społecznego Anglji“, przez J. I. Finkelhausa, opuścił prasę (cena 90 ct).

⁂ Na posiedzeniu Tow. akademików w Berlinie p. Ludwik Łączkowski czytał „Kilka słów o Kociewiu“, jest to próba opisu tej ziemi pod względem etnograficznym i historycznym.

⁂ W Tow. Poznańskiem Przyj. Nauk czytał ks. Likowski „Piotr W. i jego stosunek do Unji w Polsce“.

⁂ W sali bazarowej w Poznaniu dr. Skarzyński miał odczyt „O wpływie kobiet na stosunki społeczne i polityczne“.

⁂ Na wydz. nauk przyrodniczych Poznańskiego Tow. nauk Dr. Kusztelan mówił „O czasie, przestrzeni i wieczności ze stanowiska nauk przyrodniczych“.

⁂ W Poznaniu odczyt miał M. Bobrzyński „O pisarzach Wielkopolskich w XV i XVI wieku“ i „O Staszicu“, Tarnowski „O pisarzach naszych z drugiej połowy wieku XVI i XVII“, oraz „O Wielkopolsce w literaturze XIX w.“, o oryginalnych tych odczytach podamy obszerniejsze sprawozdanie.

⁂ Na posiedzeniu akademików w Berlinie 1. marca p. Potworowski mówił o wulkanach.

⁂ Na posiedzeniu Tow. Poznań. P. N. ks. kan. Korytkowski odczytał „Życiorys arcybiskupa Fryderyka Jagiellończyka“.

⁂ Komisja antropologiczna Ak. N. Krak., na posiedzeniu 27. lutego wysłuchała sprawozdania pana Przybysławskiego o poszukiwaniach w Horodnicy i Ossowskiego o poszukiwaniach w Prusach Królewskich.

⁂ W Krakowie ks. Pelczar miał odczyt „Stan Polski w 1665 roku i Szwedzi w Krakowie oraz pod Częstochową“.

⁂ Na posiedzeniu Krak. Tow. Technicznego dr. Brzeziński czytał „O kanalizacji miast“.

⁂ Dyrekcja wykopalisk w Pompei zamierza w listopadzie r. b. urządzić uroczystość naukową na pamiątkę zasypania tegoż miasta przez popiół przy wybuchu Wezuwjusza, od którego to wypadku w r. b. ubiega pełne 18 wieków; na uroczystość tę zaproszeni zostali znakomitsi archeologowie włoscy.

⁂ Szczątki starożytnych budowli palowych w Pforehmer Ried pod Donaueschingen zostały odkryte przez członków Stowarzyszenia historycznego w Donaueschingen; znalezione przytem sprzęty należą do okresu kamiennego, spiżowego i żelaznego.

⁂ *Podróże po Patagonji, czyli życie wśród połujących na strusie* p. *Juljusza Beerbohm*. Oprócz wiadomości etnograficznych, rozszerzających dotychczasowy widnokrąg nauki, dzieło to jest prawdziwie zajmującym obrazem wypadków. Zdobi je przytem karta geograficzna i illustracje. Autor w swojej podróży przebył około 1000 mil, pobieżna to cyfra, a znany z badawczości umysł autora, nastraja uwagę czytelnika do natężenia i czujności, które też nie doznają zawodu. Jasny, malowniczy styl, rozumny wybór faktów, ten rzadki przymiot lasysków, nadają wielką poczytność tej książce. Jej tytuł oryginalny jest: *Wanda — sings in Patagonia, or lipe amony the Ostrich Haukers*. London. 1879.

⁂ Książka prof. W. Müllera: *Historja polityczna chwili obecnej* (*Politische Geschichte der Gegenwart*). Berlin 1878 Springer — została nader przychylnie przyjętą w świecie naukowym. Zajmuje ona pośrednie miejsce pomiędzy kroniką a historją, a stanowi tom XI całego zbioru i zawiera r. 1877, wraz z rocznikiem wypadków politycznych tego roku, a mianowicie wojnę turecką, przesilenie we Francji. oba w obszernych rozmiarach przedstawione. Wykład jest jasny, ożywiony, stanowisko pragmatyczne.

⁂ D. 16. marca odbyło się w Krakowie drugie posiedzenie komisji konkursowej, która przez wzgląd na znaczną liczbę sztuk nadesłanych wzmocniła się kilku członkami. Obecnymi więc byli pp. Zyg. Cieszkowski, Estreicher, Kłobukowski, Koźmian. Rychter, Szukiewicz, Zacharjasiewicz, Ant. Zaleski, Zathey. Usunięto od konkursu następujące sztuki: p. St. Olendzkiego 1) „Złodzieje“, kom. 2 akt., 2) „Małżeństwo“, kom. 3 akt., 3) „Akt notarjalny w małżeństwie“, kom. 3 akt., 4) „Hrabia w kłopotach“, kom. 3 akt. Autor bowiem podał swe nazwisko w osobnym liście, a nie w zamkniętej kopercie, jak wymagają tego warunki konkursu. Dalej odrzucono następujące sztuki: „Nieproszeni goście“, kom. 3 akt., „Kochany szwagierek“, kom. 3 akt., „Zborowscy“, trag. 4 akt., „Iduna“, dram. 5 akt., „Lwica“, kom. 4 akt., „Zwodnicze pozory“, kom. 3 akt. Zalecono do wspólnego czytania: „Krewniaki“, kom. 4 akt., „Izrael na puszczy“, dramat biblijny 5 akt., „Pokrewne dusze“, dramat 5 akt. Na temże posiedzeniu rozpoczęto wspólne czytanie „Izraela na puszczy“.

⁂ Na wystawę warszawską przybyły cztery płótna Makarta, przedstawiające cztery pory dnia, (własność p. Jana Blocha).

⁂ Najnowszy obraz Matejki „Śmierć Warneńczyka“, przybył do Warszawy i okazywany będzie na rzecz rodziny Fr. Tegazzo.

Prasa perjodyczna.

⁂ W Szwecji wychodzi obecnie 300 gazet i czasopism, z tej liczby na Sztokholm wypada 84.

⁂ Dowiadujemy się, że w Tarnopolu z dniem 15. kwietnia ma wychodzić nowe czasopismo polityczno-literackie.

Wiadomości społeczne.

⁂ W Środzie w W. Ks. Poznańskiem rzeźnicy cechowi założyli kasę ubezpieczeń przeciw trichinom.

⁂ Drezdeńskie Tow. Przemysłowców polskich odbyło 13 odczytów, bibljoteka liczy 112 dzieł, zostaje ono pod protekcją Kraszewskiego.

⁂ Tow. Ogniwo w Gdańsku 16. lutego obchodziło uroczystość J. I. Kraszewskiego.

⁂ W Toruniu d. 17. lutego odbyło się zgromadzenie celem obmyślenia środków organizacji cechów rzemieślniczych, jakich nowe tworzenie popiera rząd pruski; zgromadzenie uchwaliło czysto polską organizację tych instytucji.

⁂ Na ludowem zebraniu w Gliwicach, na Szląsku, ks. Myśliwiec miał odczyt „O życiu i działalności ks. Antoniewicza“, który ratował lud w 1852 r. podczas grasującej cholery.

⁂ W Poznaniu ma się uorganizować niemieckie stowarzyszenie narodowo-liberalne (!)

⁂ W Gzichowie, w powiecie Będzińskim, odkryto pokłady węgla kamiennego, w Tucznobabie rudę ołowianą i galman, a w Rokitnie Szlacheckiem węgiel brunatny.

⁂ Zamierzonem jest w Warszawie założenie obszernej fabryki zapałek.

⁂ Nowozwiesiony most na Narwi, pod fortecą Modlin, oddany został do użytku publicznego.

⁂ W Paryżu zawiązał się komitet polski celem wystawienia pomnika generała Ludwika Mierosławskiego. Członkami komitetu są: p. Napoleon Szymański, Wincenty Grochowski, Sylwester Staniewicz, Walery Tomczyński i Jan Kozłowski.

Nekrologja.

⁂ Antoni Oleszczyński, niepospolity rytownik, brat Seweryna, zmarł przed kilku tygodniami w Paryżu. Oleszczyński urodził się w roku 1794, w ówczesnem województwie Lubelskiem; nauki szkolne ukończył u księży Pijarów w Opolu, poczem w r. 1810 mianowano go podsekretarzem rady stanu księstwa Warszawskiego. W roku 1816 z polecenia cara Aleksandra I. przyjęto go do akademji sztuk pięknych w Petersburgu na koszt rządu, gdzie kształcił się pod przewodnictwem Utkina. W r. 1824 ukończył ten zakład, i otrzymawszy złoty medal powrócił do Warszawy. W r. 1825 wysłany został przez komisję oświecenia publicznego dla dalszego kształcenia się do Paryża i tam pod przewodnictwem znakomitego rytownika Richome'a, doszedł do wysokiego szczebla udoskonalenia w swoim zawodzie. Jego portrety Kościuszki, Kopernika, Zamojskiego, Mickiewicza powszechnie są znane i cenione. „Album wileńskie“ Wilczyńskiego zamieściło kilka sztychów śp. Oleszczyńskiego; podobnież w innych dziełach wydawanych w Paryżu znajdują się jego prace, a mianowicie w nowem wydaniu „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza, w wydaniu pism Krasickiego i t. p. Ogół utworów jego rylca liczy się na kilkaset. Ś. p. Antoni był członkiem wielu akademji i posiadaczem kilku złotych medali, za pracę swoją na wystawach publicznych w wielu krajach zdobytych.

BŁYSKAWICA.

(Z życia artysty).

W początkach XVII stulecia, podczas rządów hiszpańskich w Neapolu, zarzewie niestannego buntu tliło wśród ujarzmionego ludu; szlachetne i święte słowa miłości ojczyzny i wolności, półgłosem zaledwie szeptane, głośny jednak dźwięk we wszystkich znajdowały sercach, gdyż szeroko rozgałęziony spisek i rozliczne towarzystwa rewolucyjne, przygotowywały wielkie powstanie jakie niebawem wybuchnąć miało na wezwanie Mazaniella.

Niejeden Neapolitańczyk oburzony postępowaniem ciemięzców, uciekł w niedostępne góry, przed prześladowaniem i uciskiem, nieodstępnemi towarzyszami każdego krwiożerczego wroga-najezdzcy.

Z dobrowolnych tych zbiegów potworzyły się wkrótce oddziały powstańcze i zajęły ważniejsze wąwozy w Abruzzach, a patrjotycznym ożywione zapałem, jeden ten cel miały na oku: przygotować ogólne powstanie przeciw Hiszpanom i oswobodzić italską ziemię.

Na nieszczęście, obok prawdziwych tych synów ojczyzny, znalazło się wielu źle myślących, co pod szlachetną osłoną patrjotyzmu, własnym tylko pragnęli dogadzać namiętnościom. Niewypłatni dłużnicy, rozpustna młodzież, włóczęgi i t. p. łącząc się w bandy rozbójnicze, hańbili sztandar powstańczy czynami nikczemnego bandytyzmu, którym naczelnicy rewolucyjni zapobiedz nie byli w możności.

* * *

Jedna ze scen podobnych, odbywała się pewnej letniej nocy na szczycie olbrzymiej góry w pobliżu miasteczka Mujella. W cieniu gęstego lasu, pod tajemniczem sklepieniem drzew odwiecznych, rozlegał się szczęk broni i dolatywał odgłos żwawej dysputy. Nic widzieć nie było podobna, ale z głosów tych, domyślać się było można obecności w lesie licznego uzbrojonego oddziału.

Czarne, bezksiężycowe niebo kłam zadawało poetycznym swym tradycjom; ciężkie jak ołów powietrze zapowiadało zbliżającą się burzę, a już sam łoskot huczącego w przepaściach potoku, wystarczałby na napełnienie trwogą najodważniejszej istoty, wśród tej dzikiej i ponurej przyrody, gdy nagle silny głos męski przerwał chwilową ciszę lasu:

— Schwytano cię — mówił ten głos — u wejścia jaskini, w której przechowujemy drogocenne kamienie, wydobyte z złotodajnej kopalni, znajdującej się w wnętrznościach tej góry. Skarby owe przeznaczone są na podtrzymywanie naszej sprawy; tyś nas szpiegował, zasłużyłeś więc na karę śmierci.

— Jeżelim zawinił — była odpowiedź — uczyniłem to zupełnie mimowolnie. Do polityki nie mięszam się wcale, i prosty tylko przypadek między was mnie sprowadził.

Ciemność nie dozwalała rozróżnić dwóch przeciwników; po świeżości organu jednakże, po śmiałym, młodzieńczym akcencie odpowiadającego, domyśleć się można było, że to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni.

Badanie ciągnęło się dalej:

— Kto jesteś?

— Jestem malarzem, wielbicielem sztuki i natury. Pochodzę z Aranella pod Neapolem. Szedłem właśnie do Rzymu, ale zwabiony pięknością otaczającej mnie przyrody, zboczyłem z gościńca, i z ołówkiem w ręku, błądząc tu i ówdzie bez myśli i wiedzy, kreśliłem naprędce szkice tej malowniczej okolicy.

Przy tem zajęciu pochwycono mnie i zabrano moje zawiniątko, w którem jako jedyne kompromitujące dowody znajdziecie rysunki i pendzle.

Głuchy szmer bandytów był odpowiedzią na powyższe szczerością nacechowane słowa, a po krótkiej prawdopodobnie naradzie, badający przemówił znowu:

— Chociażby nawet nierozmyślnie, zbrodnia wszakże została spełnioną. Wiesz, gdzie są ukryte nasze skarby; jedno niebaczne słowo wydać je może w ręce zbirów wicekróla. Musimy więc mieć rękojmię: albo życie twoje, albo wykup równający się wartości złota, którego istnienie odkryłeś.

— Cały mój majątek wynosi zaledwie kilka *karlinów*. Życie więc moje w ręku waszem.

— Musisz mieć przecież krewnych, przyjaciół?

— Jestem sierotą; towarzysze moi, również jak ja, bogatsi są nadziejami na przyszłość aniżeli w rzeczywistości.

— Rozważ dobrze. Poszukaj starannie w pamięci. Masz jeszcze pięć minut czasu do namysłu. Jeżeli po upływie ich, nie przypomnisz sobie jakiego środka zaradczego, jakiego tajemniczego protektora, strącimy cię tam i skończy się wszystko.

I mówiąc to bandyta wskazał ręką przeszło na tysiąc ośmset stóp głęboką przepaść rozwierającą swą paszczę u podnóża góry, na szczycie której odbywała się ta straszna w prostocie swej scena.

* * *

Młodzieniec milcząco przyjął krótką ofiarowaną mu zwłokę i siadł na krawędzi skały, wśród bujnych paproci i jałowców. Z wolna, oczy jego oswajając się z ciemnościami, wykazywały mu cały ogrom straszliwego położenia. O ucieczce ani marzyć nawet: od strony lasu pilnowała go banda rozbójników, okrutniejsza niż stado wilków zgłodniałych; przed nim rozciągała się czarna przepaść, głębię której ludzkie oko nawet przy dziennem świetle zwierzyć by nie zdołało. Machinalnie potrącił kamień nogą; kamień potoczył się i mimo ciężkości jego, wiele sekund upłynęło, zanim dosięgnął dna przepaści i rozbił się o skały, tysiące wydając iskier.

Jakkolwiek odważny, ile tylko młodość odważną być może, zadrżał nieszczęśliwy podróżny, a wzrok jego, uciekając ze wstrętem od przepaści ponurej, zwrócił się ku niebu, jakby szukając tam nadziei i ratunku. Na firmamencie ani jedna nie świeciła gwiazdka; ciężkie chmury zawisły po nad głową młodzieńca, i jedyna ucieczka strapionych, zdała się być obojętną i nieczułą w obec powolnej jego agonji.

Ciężka ręka dotknęła ramienia młodzieńca, pogrążonego w głębokiej zadumie.

Pięć minut już upłynęło.

— I cóż, namyśliłeś się? — zapytał dowódzca bandytów.

Malarz wzruszył ramionami.

— Czyliżbym się potrzebował namyślać, gdybym miał majątek?

— Kończmy więc.

Na dany znak przez dowódzcę, dwaj bandyci popchnęli skazanego w kierunku przepaści. Wrodzony instynkt zachowawczy, groza w obec tak strasznej śmierci, dodały mu sił do chwilowego oporu.

— Przez litość — błagał — zaklujcie mnie sztyletem, ale oszczędźcie mi bezużytecznej męczarni!...

Jeszcze chwila, już są u skalistych odłamów, panujących po nad przepaścią, biedna ofiara zdaje się już zapadać w bezdenną próżnię, gdy nagle jasna błyskawica, w rażących nieprzerywalnych drganiach, przerzyna czarne sklepienia niebios.

— Wstrzymajcie się! — zawołał malarz z taką mocą, że kaci jego, zachwiali się w ostatecznej chwili spełnienia wyroku.

Dowódzca sam, w nadziei usłyszenia ważnego zeznania, dał znak aby dozwolono zbliżyć się skazanemu.

Tragiczna scena, pogrążona dotąd w ciemnościach nocy, oświetloną została fantastycznym ogniem niebios: na czarnem tle lasu ukazało się mniej więcej trzydziestu bandytów, uzbrojonych od stóp do głów, o obliczach nikczemną nacechowanych srogością. W pośrodku nich stał dowódzca, młody, dzielny mężczyzna, okryty długim płaszczem, z ręką opartą na sztylecie zatkniętym u pasa, z okiem płonącym potęgą władzy, samowiedzą siły moralnej i muskularnej zarazem.

Ale tuż obok, wsparta na jego ramieniu w namiętnej i pieszczotliwej pozie, stała cudnej piękności kobieta, przystrojona w dziwaczny w pół cygański, w pół neapolitański kostium. Z jednego rzuta oka poznałeś, iż drobna jej rączka umie powodować z łatwością ramieniem olbrzyma, co rozkazywał tej krwiżądnej i dzikiej bandzie.

Kto ona była? Zkąd się tam wzięła? Czy słyszała krótkie śledztwo przeprowadzone z nieszczęśliwym artystą? Cokolwiekbądź, na twarzy jej ani jeden rys nie zdradzał cienia litości, współczucia; z dziką obojętnością przyglądała się spełnianiu ofiary z życia ludzkiego, jakby to widowisko urządzano na cześć jej względów umyślnie.

Malarz jednakże nie wyrzekł ani słowa więcej; wzrok jego po pierwszem mgnieniu oka na całą uilliminowaną scenę, spoczął teraz na fantastycznej grupie złożonej z pięknej nieznajomej i jej Alcyda — kochanka.

— I cóż masz do powiedzenia? — zawołał nareszcie ten ostatni, z widoczną niecierpliwością.

Skazany zdawał się nie słyszeć.

— Odpowiesz mi, czy nie? — powtórzył tupiąc nogą, dowódzca.

— Jaki to żal umierać, nie zrobiwszy tak pięknego obrazu! — szepnął artysta pełen zachwytu, zapominając zupełnie o krytycznem swem położeniu.

Dowódzca, odurzony na chwilę tak dziwaczną odpowiedzią, skinął wzgardliwie i dał znak wykonawcom, aby kończyli egzekucję.

Ale na ustach niewiasty, milczącej i nieruchomej dotąd, zjawił się uśmiech zadowolonej próżności; nie zmieniając efektownej pozy, jaką wywołała tak pochlebny wybuch zapału ze strony malarza, dotknęła swą rączką ręki bandyty i rzekła:

— Antonio, ja żądam jego ułaskawienia.

— Żartujesz chyba, Barbaro!

— Nie. Pragnę, aby mu darowano życie.

Ponury błysk oczu bandyty i brwi gwałtownie ściągnięte, zdradzały nagle zbudzone uczucie zazdrości.

— Ty, Barbaro, litujesz się?.. Cóż to ma znaczyć?

— Nic; jest to mój kaprys, fantazja. Cokolwiekbądź zresztą, żądam, rozumiesz? żądam jego ułaskawienia!

— Ale on nas zdradzi!

— Nie lękaj się o to.

— Zbliż się pan — dodała, zwracając się do młodzieńca, ciągle jeszcze pogrążonego w artystycznej kontemplacji — przysięgnij mi, że zapomnisz o dzisiejszem zajściu, że o całym tym wypadku ani jedno słowo z ust twych nigdy nie wyjdzie...

Pomyśl, że gdyby Antonio został ujęty, ja sama oddam się w ręce zbirów — że zdradzając jego i mnie byś zdradził zarazem. Ale ja ufam twemu szlachetnemu sercu. Daj mi słowo tylko, ono mi wystarczy. — Jesteś wolny!

* * *

. . . .

W kilka miesięcy później Rzym stary oddawał się z całym zapałem uciechom szalonego karnawału. Pomiędzy wesołą młodzieżą, zwracał na siebie powszechną uwagę zamaskowany mężczyzna, który przebiegając ulice i place publiczne, rzucał ludziom satyryczne improwizacje i przycinki, pełne niezrównanego a gryzącego dowcipu.

Całe miasto zaintrygowane zostało osobistością dowcipnego improwizatora; nie zadługo też dowiedziano się, że jest on niemniej znakomitym artystą. Przez skromność zbyteczną jednak, czy też zniechęcenie wywołane dotychczasową obojętnością publiczności, na której mścił się teraz dowcipnie — ukrywał dotąd swe imię i dzieła.

Lecz skoro raz już rozdarto zasłonę tajemniczości, liczni amatorowie i znawcy dotarli aż do pracowni artysty i ze zdumieniem znaleźli w niej prawdziwe skarby pod względem pomysłu i wykonania.

Wśród różnorodnych przecież utworów, ogólną wzbudzał ciekawość jeden obraz oryginalnością kompozycji i mistrzowskiem wykończeniem: wśród dzikiej, górzystej okolicy, przedstawiał on malowniczą i piękną grupę bandytów i bezbronnego jeńca, w przedśmiertnej chwili, zawieszonego po nad przepaścią.

Uwielbieniu i pochwałom nie było końca, ale i krytyka znalazła lekki zarzut. Malarz bowiem, przez kaprys czy też z niedbalstwa, zakrył twarz sympatycznego bohatera obrazu, rozrzuconemi wśród nierównej walki włosami, tak, że oszczędził sobie trudu namalowania rysów jego twarzy.

Artysta uśmiechał się słuchając zarzutów, jakie przewidział prawdopodobnie, i w obec ogólnego podziwu, nie zawahał się wziąć pędzel do ręki i śmiało u spodu obrazu, do którego podwójne miał prawo, nakreślił swe imię, mające zostać nieśmiertelnem: *Salvator Rosa.*

D. Filex.

Od Redakcji.

Z tym numerem kończy się kwartał pierwszy. Upraszamy Szan. Prenumeratorów o wczesne odnowienie prenumeraty na kwartał w celu uregulowania nakładu.

Treść Nr. 9.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.